



# ORZEŁ BIAŁY

## Polska walcząca o wolność

ROK XII SOBOTA, 2-9 LUTEGO 1952 R. Nr. 5/6 (500-1)

### CENA EGZEMPLARZA

w W. Brytanii ...	1/9 sh.
w Austrii ...	2 Sch.
w Belgii ...	10 fr. b.
w Francji ...	60 fr. fr.
w Holandii ...	80 cent.
w Niemczech ...	80 Pf.
w Portugalii ...	4 esc.
w Szwecji ...	1.20 Koron
w Włoszech ...	80 lir.
w Brazylii ...	5 Cr.
w Australii ...	A2sh. 3d.
w Argentynie ...	3.50 peso
w Kanadzie ...	25 cent.
w Stanach Zjedn. ...	25 cent.
w Szwajcarii ...	80 rp.

### W 500/1 NUMERZE:

Nic przewodnia — R. P.  
 Pierwszy rozdział — Z. Raciński  
 Naprzód z daleka, potem obok —  
 L. Rubel  
 Dziesięć lat „Orla Białego“ —  
 Z. Markiewicz  
 Buzuluk — Z. Stahl  
 Syn — Herminia Naglerowa  
 Tokijski epizod — Wł. Pobóg-  
 Malinowski  
 Kandydatura Eisenhowera —  
 P. Zaremba  
 Walka o Azję — S. Klinga  
 „Cudotwórca“ z Chochołowa —  
 J. Walewski

# PIĘĆSETNY NUMER



„Orzeł Biały”, który powstał dziesięć lat temu, jako organ Wojska w Rosji, wiernie towarzyszył Żołnierzowi Polskiemu przez cały czas jego tułaczki od stepów azjatyckich poprzez pustynie arabską i libijską do pełnej chwały kampanii włoskiej i do tragicznego rozwiązania Armii Polskiej w Anglii. A i obecnie „Orzeł Biały” trwa nadal na swym stanowisku utrzymując więź pomiędzy żołnierzami rozszanymi po całym świecie podczas przymusowego bezterminowego urlopu.

Wierzę, iż nadejdzie kres tej tułaczki, a „Orłowi Białemu” życzę aby danym mu było pełnić dalej swą szlachetną służbę do chwili, gdy będzie towarzyszyć Żołnierzowi Polskiemu podczas jego triumfalnego powrotu do niepodległej Polski.



GDY W ROKU 1941 ODTWARZILIŚMY W ROSJI POLSKIE SIŁY ZBROJNE, STANEŁA PRZEDMĄ, JAKO DOWÓDCA TYCH WOJSK, KONIECZNOŚĆ STWORZENIA PISMA, KTÓRE BY DAWAŁO WYRAZ TEMU WSZYSTKIEMU, DO CZEGO DAŻYMY I O CO WALCZYMY. NADAŁEM TEMU PISMU NAZWĘ „ORZEŁ BIAŁY”, CHCĄC ABY TO GODEŁO, BLIŹSZE SERCU KAŻDEGO POLAKA, PRZYPOMINAŁO DUMNE STULECIE NIEPODLEGŁEGO ŻYCIA PAŃSTWOWEGO RZECZYPOSPOLITEJ.

ROK POWSTANIA PISMA „ORZEŁ BIAŁY” BYŁ NAD WYRAZ CIĘŻKIM

OKRESEM WOJNY. ZIEMIE POLSKIE KRWAWIŁY SIĘ W NIERÓWNEJ WALCE PODZIEMNEJ Z BARBARZYŃSKIM NAJAZDEM HITLEROWSKIM. MY WSZYSCY NA TERENIE OSWIECENIA — WCZORAJSI WIEŻNIOWIE I ODARCI Z PRAW LUDZKICH ZESŁANCY — WIEDZIELIŚMY AZ NAZBYT DOBRZE CO NIESIE NASZEJ OJCZYZNIE DRUGI WRÓG: SO- WIECKI ZDRADZIECKI „SO- JUSZNIK”. PRZED SOBĄ MIE- LIŚMY JEDNĄ TYLKO ŻOŁ- NIERSKĄ DROGĘ — DALSZEJ WALKI O NIEPODLEGŁOŚĆ, WYTKNIĘTA I OSWIECONA BLASKIEM ORŁA BIAŁEGO W KORONIE. NA TEJ DRODZE WIERNYM PRZYJACIELEM ŻOŁNIERZA STAŁ SIĘ OD RA- ZU „ORZEŁ BIAŁY”, PISMO AR- MII POLSKIEJ NA WSCHODZIE, A POTEM 2. KORPUSU.

PRZEZ WSZYSTKIE LATA SWEJ WEDRÓWKI „ORZEŁ BIA- ŁY” DZIELIŁ LOSY ŻOŁNIERZA, A TREŚĆ SWEGO ISTNIE- NIA CZERPAŁ Z BÓLÓW I TROSK, Z RADOSCI I WIARY ŻOŁNIERSKIEJ. Z NAJGŁĘBSZĄ WIARĄ W BOGA BYŁ ZAWSZE I POZOSTAŁ WIERNY SZTANDAROM, NA KTÓRE ŻOŁ- NIERZ PRZYSIEGAŁ, POZOSTAŁ WIERNY SPRAWIE, ZA KTÓRĄ NAJ- LEPSI DALI SWE ŻYCIE W OFIERZE.

DZISIAJ WALKA TOCZY SIĘ DA- LEJ. TYMCZASEM DLA NAS BEZ- OREZNA. W KRAJU NARÓD POL- SKI JEST POD CORAZ STRASZLIW- SZYM UCISKIEM WROGA I PATRZY CO DNIA JAK NAJEZDZCA I JEGO AGENCI W BŁOTO CHCĄ WDEPTAC HASŁA WYSZYTE NA NASZYCH

SZTANDARACH. PRÓBUJĄ WAL- CZYĆ Z BOGIEM, WYSZYDZAJĄ HO- NOR I TERROREM TĘPIĄ MIŁOŚĆ OJCZYZNY. WALKĘ TE PRZEGRA- JĄ. NIE DOSIĘGNĄ NAJWIĘKSZYCH WARTOŚCI, PRZECHOWYNYCH W GŁĘBI SERCA KAŻDEGO POLAKA.

W ZMIENIONYCH WARUNKACH NAS OTACZAJĄCYCH „ORZEŁ BIA- ŁY” DALEJ DOBRZE SPEŁNIA SWĄ PRACĘ. DZISIAJ NIE WYSTARCZA JUŻ SAMO WYTKNIĘCIE PROSTEJ DROGI ŻOŁNIERSKIEJ TAKIEJ, JA- KĄ CHCEMY WIDZIEĆ W OBY NAJ- BLIŻSZEJ JUŻ PRZYSZŁOŚCI. ZADA- NIA PISMA SĄ RÓŻNOWNYMIAROWE. NIESIENIE PRAWDY O POLSCE I PRZEDSTAWIANIE NASZEGO STA- NOWISKA I NASZEJ MYŚLI POLI- TYCZNEJ WŚRÓD OBCYCH, ODDZIA- ŁYWANIE SWĄ POSTAWĄ NA WSZYSTKICH, KTÓRYM DROGA JEST SPRAWA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI A PRZEDM WSZYSTKIM — CHRONIENIE I UMOCNIENIE DU- CHA ŻOŁNIERSKIEGO I GOTOWOŚCI DO WALKI.

SŁOWO DRUKOWANE „ORŁA BIA- ŁEGO” OGNISKUJE MYŚLI I UCZU- CIA POLAKÓW, DOCIERAJĄC TAM W SZERZDZIE, GDZIE ŻYJĄ ŻOŁNIERZE POLSCY WE WSZYSTKICH KRAJACH ŚWIATA WOLNEGO. „ORZEŁ BIAŁY” DAJE ŚWIADECTWO NAJGŁĘBSZEJ WIERZE, KTÓRA JEST Z NAS SA- MYCH — ZE ZWYCIEŻYMY.

LONDYN, 27 STYCZNIA 1952.

Londyn, w styczniu 1952 r.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej zaszczylił redakcję „Orla Białego” nadaniem z okazji wydania 500. numeru pisma powyższego oświadczenia.

## NIEOBECNI

Wśród drewnianych niskich domków i niekończących się rozległych ulic stoi wysoki biały gmach z biało-czerwoną flagą — Sztab Armii Polskiej w Z. S. S. R. W mroźną śnieżną noc, w księżycowej mgie świecą wielkie, rzeźbiące oświetlone okna. 29 listopada. Kandydaci do Szkoły Podchorążych uczyli ten dzień wieczorem deklamacji i humoru.

W przepelnionej empirowej sali by- lego Klubu Szlacheckiego, dziś Sztabu, na estradzie pod świeżo wymalowanym na ostro-czerwonej tarczy srebrnym orłem, dziwnym orłym, bo o tak wielkich, przedziej archaicznych niż orlich skrzydłach, śpiewają i deklamują chłopcy z Iwidiela, Archangielska, Pieczory z ta- ką werwą, że zapominamy prawie, w ja- kich warunkach przebyli ostatnie lata.

Jedyna dekoracja: orzeł „archaiczny” nad ich głowami i kolumny empi- rowe, to w ciepłym rudy świetle lam-pek elektrycznych, to w chłodnym bla- sku ustawionego na galerii reflektora. Kostiumy — to tylko co „wyfasowane” mundury angielskie i karabiny.

W programie naturalnie: Mickiewicz i Wyspiański: „Reduta Orłona” i urywek aktu I „Nocy Listopadowej”. (Dlaczego nigdy Słowacki; nigdy Norwid?). Te rze, tyle razy słyszane, dziś znowu łączą inaczej, inaczej zaktualizowa- znowu wymykają się z czystej sztu- bki nas jak propaganda, jak pobud- I przepelnioną salę ogarnia jednako- temperatura uczuciowa, jednakowe wzruszenie, jednocześnie najbardziej na- wet dalekich sobie charakterem, zapa- trywaniami, wiekiem — Polaków.

Patrze na skupione, wzruszone twa- rze kobiet, dzieci, i, wiem o nich, że przybyły z Karagandy, Akmołińska, Dmska, na twarze oficerów, których jesz- ze kilkanaście dni temu widziałem ob- zarpanych, wynędzniałych, przybywają- cych z Kołymy czy Workuty. Słuchają szczerze Polskiego Słowa u stóp polskie- go orła, tak niedawno rozsypani na bez- wiesnych obszarach dziś razem w wo- jku, w Sztapie Armii Polskiej.

Słuchamy śpiewu podchorążych, a po- tem rozkazu głównodowodzącego gen. Andersa, na dzień przybycia Wodza Na- czelnego do Kujbyszewa. Dlaczego my właśnie?

I wypływa nagle wspomnienie innego świata. Ta sama „Reduta Orłona” de-klamowana z równym zapalem i rów- nież poezja Wyspiańskiego.

Starobielsk. Ulica Lwowska, t. zn. długie wąskie przejście między piętrowymi narami w drewnianym, przez nas wybudowanym, baraku numer 21 — zastawione wąskim stołem, pokrytym obru- sem, malutkie „ukradzione” drzewko; każdy ma przed sobą zdobytą tajemni- czo przez organizatorów ucztę — bułkę i kilka cukierków, mamy prawdziwy opiatek i wszystkie baraki huczą i szu- mią od nieprzerwanego śpiewanych ko- led. 1939 — Wigilia w Obozie Jeńców. Na tle tych koled por. Lesiak deklamu- je „Redutę”, Koncert Jankiela, a potem wstaje nagle, zawsze cichy, serdeczny kolega prof. Radoński i mówi cichym, stłumionym przez wzruszenie głosem wiersz z „Wyzwolenia”.

O Boże, pokutę przebyłem i długie lata tułacze, Dziś jestem we własnym domu i krzyż na ziemi znacze, Krzyż znacze, Panie, nie przeto, bym na się krzyż przyjmował, Lecz byś mnie, Panie, od męki, od męki krzyża ratował . . . . .

I ostatnie błaganie „O Polskę żywą nie krzyża lecz zbawienia”.

Jakże zapomnieć zapadłe później mi- lenie, twarze wzruszone kolegów, ser- decznych przyjaciół, których nie widzi- my tutaj wśród nas, z którymi dzieli- liśmy najcienniejsze w życiu miesiące.

I wtedy jak dziś, słowa czystej poezji, Mickiewicz i Wyspiański, połączyły nas wszystkich, wyrwały nas wówczas z koszmaru, z brudu, z nosów, głuchej roz- paczy, brutalnych swarów, dając nam głębszy dech, sekundę wyzwolenia.

Z czterdziestu mieszkańców „Ulicy Lwowskiej” jest nas tylko dwóch w ar- mii (względnie duży procent w stosun- ku do całości). Gdzie są inni żołnierze, Polacy diamentowego hartu? Uczyliśmy się nawzajem od siebie, żeby wytrwać i jak wytrwać, ilu z nas przetrzymało te czasy, doprawdy dzięki ich sercu bra- terskiemu, dzięki tajemnemu dusz obco- waniu, w którym brali udział najlepsi i nawet najlichsi.

Każdy z nas, myśląc o nieobecnych widzi inne twarze oczami serca. Jest ich jeszcze tak wielu, tych, na których czekamy, czekamy z wrastającym nie- pokojem.

Gdzie są? Co z nimi uczyniono?

Czy wiedzą oni o wojsku polskim, o którym marzyli, w które z całą namie- nością wierzyli? Czy czują, że pamięta- my o nich? Czy naprawdę robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odkryć ich miejsce pobytu, żeby przyspieszyć ich powrót?

J. Czapski  
(„Orzeł Biały” nr 1)

Tym odważnym artykułem, napisanym w Rosji, otworzył J. Czapski na łamach „Orla Białego”, w pierwszym jego numerze, trwającą do dnia dzisiejszego „kampanię katyńską”. Niestety, nie szu- kami już miejsce pobytu „zaginionych”. Te miejsca częściowo odkryto już w Ka- tyniu. Szukamy sprawiedliwości, szuka- my sądu, domagamy się kary dla win- nych zbrodni.

Dlatego jesteśmy szczęśliwi, że mo- żemy w tym numerze podzielić się z Czytelnikami wiadomością, że Prezy- dent Stanów Zjednoczonych Truman przyjął członków Komisji Katyńskiej Kongresu Stanów Zjednoczonych z pp. Maddenem i Machrowiczem na czele, wyraził zadowolenie z jej utworzenia, przyrzekł jej poparcie i zawiadomił, że wydał instrukcję szefom departa- mentów, by pod każdym względem ułatwiali prace Komisji. Nie potrzebu- jemy podkreślać znaczenia tego fak- tu, który wprowadza sprawę katyńską na nowe tory.

Redakcja

WALKA O WOLNOŚĆ, GDY SIĘ RAZ ZACZYNA, PRZECHODZI Z OJCA DZIEDZICTWEM NA SYNA. STO RAZY WROGÓW ZŁAMANA POTĘGĄ KONCYŻ ZWYCIEŻSTWEM... GRECJA JEST KSIĘGĄ, W KTÓREJ WIEKAMI STOI WYPISANO ŻE KLESKA WOLNYCH JEST ŚWIATA PRZEGRANA.

DŁUGO BY MÓWIĆ, PRZECHODZIĆ OKROPNIE WSZYSTKIE OD CHWAŁY DO UPADKU STOPNIE: DOSYĆ JEST WIEDZIEĆ — ŻE NIKT NIE ZAGRZEBIE DUCHA SWOBODY, CHYBA ON SAM SIEBIE. I TYLKO WŁASNE UPODLENIE DUCHA UGINA WOLNYCH SZYJĘ DO ŁAŃCUCHA.

George Gordon Byron  
(Tłumaczenie A. Mickiewicza)

(Zwrotki te wydrukowano w jednym z pierwszych numerów „Orla Białego” na terenie Rosji sowieckiej).

## Zamiast jubileuszu

Czasy dzisiejsze nie nadają się do ob- chodzenia t. zw. „jubileuszów”. W dodatk- u nie uważamy się za „jubilatów”, gdyż rola nasza nie jest skończona. Trudno też radować się z tak długiego pozosta- nia na obczyźnie.

Pragnieniem Redakcji, z którym z ca-łą szczerością chcemy podzielić się z czy- telnikami, byłoby uczczenie wysiłków związanych z wydaniem „Orla Białe- go” przez dziesięć z górą lat, ufundowa- niem nagród Czytelników „Orla Białe- go” dla pisarzy, literatów i publicystów, któ- rzy dali z siebie najwięcej w dziedzinie omawiania zagadnień politycznych i wo- jskowych z punktu widzenia ideologii sz- erzona na łamach „Orla Białe- go”. Oczywiście chodzi o publicystów nie na- leżących do stałego zespołu redakcyjne- go.

Naczelnym zadaniem „Orla Białe- go” było rozwijanie polskiej myśli politycz- nej i wojskowej, jak i ideologii niepod- ległościowej. Nie zapominał on przy- tym o obowiązku szerzenia kultury pol- skiej. Wszystkie te dziedziny są dziś zagrożone przez rzeczywistość w kraju. Politykę polską możemy dziś prowadzić wyłącznie za granicą.

Dlatego też wyróżnienie tej dziedziny pracy pisarskiej z okazji dziesięciolecia „Orla Białe- go” byłoby szczególnie wska- zane, zwłaszcza, że dotychczas nagrody udzielane na emigracji miały charakter prawie wyłącznie literacki.

Ufundowanie tych nagród nie jest możliwe bez pomocy Czytelników. Do nich zwracamy się dziś z apelem o za- początkowanie akcji, zmierzającej do zgromadzenia funduszu umożliwiającego utworzenie tych nagród. Gdyby in- icjatywa nasza została przez Czytelników przyjęta powołalibyśmy Komitet, spoza grona Redakcji „Orla Białe- go”. Kom-itet ustaliłby statut nagród i dokonał ich rozdania.

Wszelkie uwagi na ten temat jak i wpłaty z zaznaczeniem „Fundusz nagród Orla Białe- go” kierować prosimy na adres Redakcji, ew. za pośrednictwem przed- stawicieli „Orla Białe- go” w poszczególnych krajach. Boda one kwitowane w „Orle Białym”.

## URODZINY... W KĄCIE KORYTARZA

W setnym numerze „Orla Białego”, a w pierwszym wydanym na terenie Włoch w Campobasso z datą 30 kwietnia 1944 r. a więc w przededniu bitwy o Monte Cassino ukazał się wywiad z gen. Władysławem Anderssem p. t. „Jak powstał „Orzeł Biały”. Wywiad rozpoczynał się od słów:

„Kiedy w sierpniu 1941 r. po wyjściu z Lubianki powierzono mi dowództwo i organizację Armii Polskiej w Rosji, po-  
wziętem natychmiast, w Moskwie jesz-  
cąc będąc — myśl założenia pisma żoł-  
nierskiego...  
„W gronie moich najbliższych współ-  
pracowników w Moskwie niejednokrot-  
nie omawiałem sprawę pisma, natrafia-  
jąc wszędzie na zrozumienie wagi tego  
zagadnienia. Nie ustawałem w stara-  
niach otrzymania drukarni, co zresztą  
szło bardzo ciężko i kosztowało wiele za-  
chodu. Dopiero w połowie listopada, po  
kilku energicznych interwencjach otrzy-  
maliśmy w Buzuluku drukarnię połowa.  
Posiadała niewystarczającą ilość pol-  
skich czcionek, co pozwalało jedynie na  
druk czterech stronice. Zanim jeszcze  
drukarnia została zmontowana, wydałem  
połączenie w Tockoje i Tatiszewie reje-  
stracji wszystkich drukarzy i cecerów,  
zgłaszających się do wojska. Dzięki te-  
mu, udało się skompletować zespół dru-  
karni połowej, która jak pamiętam, ze  
względu na brak miejsca w Sztabie, roz-  
lokowana została w kącie korytarza. Nie-  
raz tam zachodziłem, obserwując żmud-  
ną i ciężką pracę cecerów i maszynistów,  
stwierdzając, że pracują z poświęceniem  
i w trudnych warunkach, by zabezpieczyć  
regularne wychodzenie „Orla”, który z  
takim utęsknieniem był w owe mroźne  
dni zimy rosyjskiej — oczekiwany pod  
namiotami Tockoje, Tatiszewa, Kłotub-  
banki. Zresztą „Orla” czytała również  
ludność cywilna, wydałem bowiem roz-  
kaz, by drukowano go więcej, by nie ty-  
ko obsługiwał żołnierzy. W wielu wy-  
padkach, jak mi opowiadano, „Orzeł”  
służył za elementarz, na którym dzieci  
uczyły się znowu po polsku...”

Mówił następnie generał o kłopotach z „Orlem” w Rosji, o ciągłych inter-  
wencjach władz sowieckich, zarzuca-  
jących pismu wstrętność, w o-  
kazaniu przyjaźni wobec Rosji So-  
wieckiej, o cenzorze, który zjawiał się  
przy jedenaście numerze pisma...  
W archiwum redakcji zachowany  
jest spis konfiskat dokonanych ręką  
cenzora sowieckiego w „Orle Białym”.  
Najmniejsze aluzje do Lwowa i Wilna  
były usuwane przez wysłannika  
N. K. W. D. Nie wolno było nawet  
użyć nazwy „13 Pułk Ułanów Wileń-  
skich”. Z notatki omawiającej zna-  
ny obraz Matejki „Hold Pruski”,  
cenzor skreślił słowo: „bohater zwycię-  
stwa pod Orszą w roku 1511”.  
Z artykułu omawiającego wywiad gen.  
Sikorskiego, udzielony w Kairze, cen-  
zor usunął wzmiankę: „ze Polaków roz-  
proszonych w Rosji jest przecież oko-  
ło dwa miliony”. Z artykułu s. p.  
Charkiewicza p. t.: „Grunwald” cenzor  
skreślił słowo: „Pod Orszą czy Ma-  
ciujowicami” itd.  
O czasach tych pisał wesoło w 50  
numerze „Orla Białego”, wydanym  
już w Bagdadzie. Zdzisław Bau, który  
był głównym twórcą pierwszych  
numerów „Orla Białego”. Wspominał  
on jak to w redakcji, gdzie tempera-  
tura rzadko przekraczała 0 stopni,  
przybywali kolejno pierwsi współpracownicy  
pisma W. Kowanko, Z. Ra-  
ciecki, jak administratorem „Orla”  
został na krótko „najbardziej wzoro-  
wy żołnierz kompanii sztabowej Eu-  
geniusz Lubomirski” i jak nad całoś-  
cią czuwał Józef Czapski...  
Lecz powróćmy do pierwszego cze-  
strostronicowego numeru „Orla Białego”.  
Na pierwszej stronie „rozkaz  
Nr. 6. dowódcy Polskich sił zbrojnych  
w Z. S. R. R. gen. dyw. Władysława  
Andersa, zawiadamiający żołnierzy,  
że „w dniu dzisiejszym wyładował na  
lotnisko w Kujbyszewie, przylatując  
z dalekiej Anglii, Naczelny Wódz gen.  
Władysław Sikorski. ...Gdy stanie on  
pomiędzy Wami. — mówij dalej roz-

# NIĆ PRZEWODNIA Z NOTATNIKA REDAKCYJNEGO

## OTWARTE STARCIE Z POLITYKĄ SOWIECKĄ

W Waszych rejonach — oddaj-  
cie mu cześć Waszą żołnierską posta-  
wą, niech wyczyta w Waszych wier-  
nych oczach miłość, szacunek i pełne  
zaufanie...”

Na drugiej zaś stronie artykuł re-  
dakcyjny uzasadniający „potrzebę  
powstania pisma i jego hasło zasad-  
nicze solidarności i braterstwa pol-  
skich żołnierzy, stanowiących jedność  
duchową i organizacyjną.”

„Tygodnik „Orzeł Biały” — czytać  
można w tym artykule — jako organ do-  
wódcy Polskich Sił Zbrojnych w Z. S.  
R. R. przyjmując dwa hasła dywizyjne:  
„Przetrwamy i dojdziemy” — uzupełni  
on swoim materiałem i zasięgiem pisma  
istniejące. Zaprasza do współpracy  
wszystkich żołnierzy. Znosi bratnim  
organom wojskowym na zachodzie wieść  
i pozdrowienie od nas wszystkich. U-  
mujemy je w hasło trzecie, brzmiące:  
„Wszyscy polscy żołnierze są braćmi!”

To hasło zjednoczy nas i połączy bicie  
serc polskich w potężne akordy, zwi-  
astujące wolność i potęgę...”

Armia polska powstająca w Rosji  
przypominała światu, że uważa się za  
część suwerennych Polskich Sił Zbroj-  
nych. Po najokrutniejszej niewoli i  
znajdując się jeszcze na terenie po-  
tencjalnego wroga, chwilowo osłabio-  
nego, zgłaszała solidarność swą z ca-  
łym narodem. Oświadczała, że nikt  
nie może liczyć na jej rozbitcie, czy  
też na oderwanie od rodzimego pnia.

W tym samym numerze odważny,  
pięknie napisany artykuł Czapskiego  
o „Nieobecnym”, o tych, których czę-  
ściowo odnaleziono w Katyniu.

W tych narodzinach i w tych pier-  
wszych przejawach życia pisma od-  
najdźmy tradycję i styl polski. Mia-  
ły Legiony Dąbrowskiego swoją „De-  
kadę”, miały Polskie Siły Zbrojne z  
Z. S. R. R. a następnie 2. Korpus  
swego „Orla Białego”.

Myśl o założeniu pisma zrodziła się  
wraz z planami o organizowaniu wojs-  
ka. Obie decyzje podejmuje Dowódca  
jednocześnie. Zna bowiem dobrze  
żołnierza polskiego i wie, że po stras-  
zliwej niewoli należy zaspokoić nie  
tylko głód jego materialny, ale i du-  
chowy, ideowy.

Wbrew legendzie, naród polski nie  
jest wojowniczy, może nawet w  
ciągu dziejów zbyt mało wojowniczo-  
ści wykazał. Żołnierz polski nie gar-  
nął się ani do obcych wojsk zwycięż-  
czych, ani do legii cudzoziemskich. W toku  
dziejów nie traktowali wojska jako  
zremiosła tylko, ale przede wszyst-  
kim jako szczytną służbę, pełniąca dla  
narodu, państwa oraz idei prawa i  
sprawiedliwości Polak wtedy jest  
dobrym żołnierzem jeśli jest przekon-  
any o słuszności sprawy, za którą  
walczy, gdy ma jasno wytknięty  
cel ideowy i polityczny, do którego ma  
zmierzać w marszu bojowym. Ten  
cel i te idee żołnierz polski w Z. S. R. R.  
miał znajdować w „Orle Białym”.

Solidarność i koleżeństwo żołnier-  
skie, to druga cecha polskiego wojska,  
na które natychmiast wskazał „Orzeł  
Biały”. Mimo swarów i podziałów,  
które dła Polaków, lubią się oni czuć  
w masie. Jedność narodowa zawsze  
jest ich ideałem. Niestety ideal ten  
w życiu zbiorowym bodaj tylko w wojs-  
ku i w czasie wojny bywa osiąganym.

„Orzeł Biały” nawiązując od pier-  
wszej chwili do tej tradycji, stał się łącz-  
nikiem między rozproszonymi żoł-  
nierzami polskimi różnych przekonań  
politycznych, różnych narodowości i  
wyznań. A dziś w zmienionych war-  
unkach, stał się jednym z łączni-  
ków między rozszpanymi skupiskami  
Polaków, czekających na chwilę pod-  
niesienia znowu walki o wolność.

W Bagdadzie nastąpiło połączenie  
redakcji pisma Samodzielnej Brygady  
Karpackiej „Ku Wolnej Polsce” z re-  
dakcją „Orla Białego”. Połączenie nie  
obyło się bez długich dyskusji i „dra-  
matycznych” scen, które wydają się  
dziś humorystyczne. Obie redakcje,  
które wzajemnie podejrzewały się o  
nieodstateczność uwzględnianie zagadnień  
sowieckich, w gruncie miały na tę spr-  
awę poglądy najzupełniej zgodny. Dużą  
rolę w wyjaśnieniu tych nieporozu-  
mienia odegrał obaj redaktorzy naczel-  
ni „Orla Białego” s.p. Roman Hausner  
i Józef Poniatoński. Uważaliśmy, że  
wojna z Niemcami to jedna sprawa —  
którą należy zakończyć zwycięstwem,  
— ale że najgroźniejszą dla nas sytu-  
acją wytworzy prawdopodobnie Rosja  
Sowiecka i jej imperializm. Dlatego  
wydawało nam się wówczas, że musi-  
my tak prowadzić wojnę z Niemcami,  
by ani przez chwilę nie zapominać, że  
czeka nas po ich pokonaniu, rozprawa  
co najmniej polityczna z Rosją.

Wesoło, hucznie i szumnie obchodzili-  
śmy w Bagdadzie pierwszy jubileusz  
„Orla” z racji wydania 50 numeru te-  
go pisma. Nasi koledzy i przyjaciele  
wyrwani ze straszliwych więzień i lag-  
rów sowieckich, — spragnieni byli  
rozrywką i wesołości. Dobrze to rozu-  
mieliśmy.

Bardzo jednak szybko przyszły  
pierwsze, większe kłopoty. Krótko po  
jubileuszu zostaliśmy wezwani na od-  
prawę do gen. Andersa. Odprawa od-  
była się w jego willi pod Bagdadem.  
Powodem była wiadomość, że władze  
sowieckie postanowiły odebrać Pol-  
skom pozostałym jeszcze w Rosji So-  
wieckiej obywatelstwo polskie, że Mo-  
skwa nie pozwala matkom, żonom,  
dzieciom i siostronom żołnierzy, którzy  
opuszcili Rosję na wyjazd z czerwone-  
go caratu w ślad za wojskiem.

Spór ten powstał na tle poprzednich  
zatargów o dopuszczenie do wojska  
wszystkich obywateli polskich, jak te-  
go domagała się strona polska. Władze  
sowieckie robiły natomiast zamiar-  
nie rozróżnienia. Z ziem położonych na  
wschód od linii Ribbentrop — Mołotow  
mogli według Moskwy wstępować do  
wojska jedynie obywatele narodowości  
polskiej. Innym tego prawa odmówio-  
wiono. Obecnie nawet obywatelom  
ziem wschodnich narodowości polskiej  
narzucano obywatelstwo sowieckie.  
Oczywiście wiązało się to z polityką  
zmierzającą do nowej aneksji tych  
ziem przez Rosję.

General był niezadowolony. Dokucała mu  
noga. Z wielką troską mówił o wzno-  
wieniu przez Moskwę, zaraz po Stalin-  
gradzie akcji antypolskiej, zastana-  
wiał się nad sposobami naszej reakcji  
na krzywdę, która była zapowiedzią  
dalszych zamachów. „Zaczynają się kł-  
opoty z aliantami” — powtarzał mając  
na myśli sojuszników zachodnich, gła-  
szających bez skrępowań Stalina. Kł-  
opoty istotnie dopiero zaczynały się.  
Jednym z wyników tej odprawy był  
artykuł Z. Racieckiego z dnia 18. 4.  
1943 r. p. t. „Nasza największa tro-  
ska” Autor po raz pierwszy poru-  
szył otwarcie niezmiernie podejrzany  
już wówczas stosunek polityki sowiec-  
kiej do Polaków. Artykuł poświęcony  
był zagadnieniu obywatelstwa de-  
portowanych do Rosji Polaków,  
jak i sprawom granic Państwa.  
Kończył się słowami: „Ani naszej  
ziemi, ani obywateli nie wyrzekniemy  
się nigdy, wierzymy, że sprzymierze-  
ncy nasi: Wielka Brytania i Ameryka,  
których szlachetność i przyjaźń zna-  
my, będą rzecznikami tej najgłębszej  
naszej troski”.

Na tej samej stronie „Orla Białe-  
go” ukazała się następująca wiado-  
mość:

„W ostatniej chwili dotarła do nas  
wieść o tragicznym losie Starobielszc-  
zan i Kozielszczan. W następnym nu-  
merze „Orla Białego” zabierze głos w  
tej bolesnej sprawie rtm. Józef Czapski,  
b. jeńiec obozu w Starobielsku”.

Istotnie w następnym numerze  
„Orla Białego” ukazał się wywiad z  
Czapskim, ale od tego też numeru  
zaczęły się ukazywać białe plamy,  
wywołane ołówkiem cenzora. Nastąpiło  
zerwanie przez Sowiety stosunków z  
Polską. Zaczęła się sprawa Katynia.  
Nie było niemal w tym czasie nume-  
ru „Orla” bez konfiskaty. Artykuł  
podpisany Arp. poświęcony sprawie  
gen. Michajłowicza został w połowie  
skonfiskowany. W numerze witającym  
przybywającego na Śr. Wschód Na-  
czelnego Wodza gen. Sikorskiego, cen-  
zor skonfiskował cały artykuł p. Ste-  
fana Tyszkiewicza p. t.: „O bezpieczeń-  
stwo świata” itd.

W tym czasie jak grom z jasne-  
go nieba przyszła wiadomość o tragicz-  
nej śmierci na posterunku Naczelnego  
Wodza gen. Sikorskiego. Kilka po-

przednich numerów „Orla Białego”  
wypełnione były zdjęciami, reporta-  
żami i artykułami związanymi z jego  
pobytem wśród żołnierzy Armii Pol-  
skiej na Wschodzie.

Na pierwszej stronie „Orla Białe-  
go” z dnia 20 czerwca 1943 r. ukazało  
się przemówienie gen. Sikorskiego do  
żołnierzy. Powiedział on w nim m. in.  
„Staramy się dalej o wyjazd Waszych  
rodzin (z Rosji). Oby Bóg sprawił, by  
udało się rządowi odzyskać je i przy-  
wrócić Wam spokój...”

„Prezydent R. P., Rząd, któremu  
przewodniczę, oraz ja jako Naczelny  
Wódz stoimy wciąż pilnie na straży  
interesów Rzeczypospolitej. Nie uroni-  
limy i nie uronimy z nich niczego.”

„Wasza myśl i praca skupiać się za-  
tem muszą całkowicie na tym jedynie  
kierunku, który wskazuje nam drogę  
do „Warszawy, Lwowa, Wilna, Krako-  
wa, Katowic, Poznania i Gdańska”.

Warto może przypomnieć te słowa  
wobec późniejszego, a nawet obecnego  
samozwicznego powoływania się obozu  
jałtańskiego na nazwisko gen. Wł. Si-  
korskiego.

Niestety po tragicznym zgonie Ge-  
nerała, obóz jałtańczyków z Mikołaj-  
czykiem na czele obją przywództwo w  
rządzie, Mikołajczyk został pierwszym a  
prof. Kot ministrem Informacji i  
Dokumentacji. Witaliśmy ten rząd z  
największymi obawami. „Orzeł Biały”  
wszedł w nowy, trudny okres przeciw-  
stawiania się zgubnej polityce, która  
wiodła ku Jałcie.

## W PALESTYNIIE

We wrześniu 1943 r. znaleźliśmy  
się w Palestynie, gdzie 2. Korpus  
przechodził ostatnią zaprawę przed  
walką oregną. Początkowo sądziliśmy,  
że miejscem jego lądowania będą Ba-  
lkan, najbliższa droga do Polski. Sta-  
ło się inaczej. Stalin postarał się o  
to, by wojska zachodnich sojuszników  
2. Korpusu walczyły możliwie najda-  
lej od terenów, które Rosja uważała  
za swoje. Lądowanie nastąpiło we  
Włoszech, które właśnie przy końcu  
lata 1943 r. kapitulowały.

Przygotowaniom Korpusu do walki  
towarzyszyły coraz gorsze wieści z te-  
renu międzynarodowego. Wchodzili-  
śmy w okres katastrofalnej konferen-  
cji w Teheranie. Poprzedziła ją kon-  
ferencja trzech ministrów spraw za-  
granicznych, Rosji, Stanów Zjedn. i  
W. Brytanii w Moskwie. Nie mieli-  
śmy co do niej złudzeń. „Orzeł Biały”  
z dnia 24 października 1943 r. dawał  
wyraz uzasadnionym obawom. Arty-  
kuł protestował przeciw zamiarom  
rozwiązania zagadnień polskich bez  
udziału upelnomocnionych Polaków i  
stwierdzał, że będąc poza granicami  
państwa, „nie mamy żadnego tytułu  
ani prawa czynić ustępstw kosztem za-  
sadniczych interesów Polski — prze-  
pisy naszej konstytucji bardzo wyraź-  
nie ograniczają tu możliwości Rządu,  
a nawet Prezydenta Rzeczypospolitej  
na rzecz regularnej reprezentacji Na-  
rodu, której obecnie nie ma — musi-  
my jasno sobie uprzytomnić i wycią-  
gnąć stąd wnioski, że w okresie rew-  
olucyjnej fazy wojny, w czasach kiedy  
zagadnienia polityczne zaczynają gó-  
wać nad wojennymi, wykazanie w o-  
gólnej polityce charakteru obok rozumu  
— jest pierwszym i zasadniczym  
warunkiem wygrania naszej sprawy...”

Artykuł wskazywał, że „w miarę jak  
zbliżać się będziemy do końca wojny,  
rosnąć będzie nasza odpowiedzialność”  
i wzywał do przeciwstawienia intru-  
gim antypolskim „konstytucyjnej le-  
gaimości naszych władz państwowych”  
i do mobilizacji „wszystkich kierun-  
ków politycznych stojących na grun-  
cie suwerenności państwa, jak i wszy-  
stkich autorytetów bez względu na ich  
przekonanie...”

Mieliśmy w Palestynie więcej niż  
w Iraku możliwości urozmaicenia pis-

ma i zdobycia dla niego nowych źró-  
deł informacji, o co dbał ówczesny kie-  
rownik działu czasopism wojskowych  
J. Giedroyc. W Tel-Awivie, mieście  
nawskroś europejskim i żywym, zet-  
knęliśmy się znowu z pismami zagra-  
nicznymi, z nowymi wydawnictwami,  
książkami i z dużym środowiskiem  
polskich uchodźców. Czytaliśmy tam  
wiele. Zdobyta wreszcie książka prof.  
Carra „Conditions of Peace” odsłoni-  
ła groźny plan polityczny, podzielany  
wówczas przez wpływowe koła brytyj-  
skie, oparcia przyszłego pokoju na po-  
dziale Europy na strefy wpływów.  
Mniejszym państwom jako azekomo-  
„nieżywym” — miała być odebrana  
suwerenność, Polsce dawano miejsce  
w rosyjskiej strefie wpływów. Wie-  
dziliśmy co to znaczy.

Uznaliśmy, że trzeba przygotować  
się na najgorsze. Po artykule o kon-  
ferencji w Moskwie przyszły dalsze  
p. t.: „Nic bez naszej zgody”, „Na-  
kazy uczciwości (J. Ulatowskiego),  
„Polskie non possumus”, „Gwoli przy-  
jaźni” (M. Ciolka — Józefa Ponia-  
tońskiego) itd.

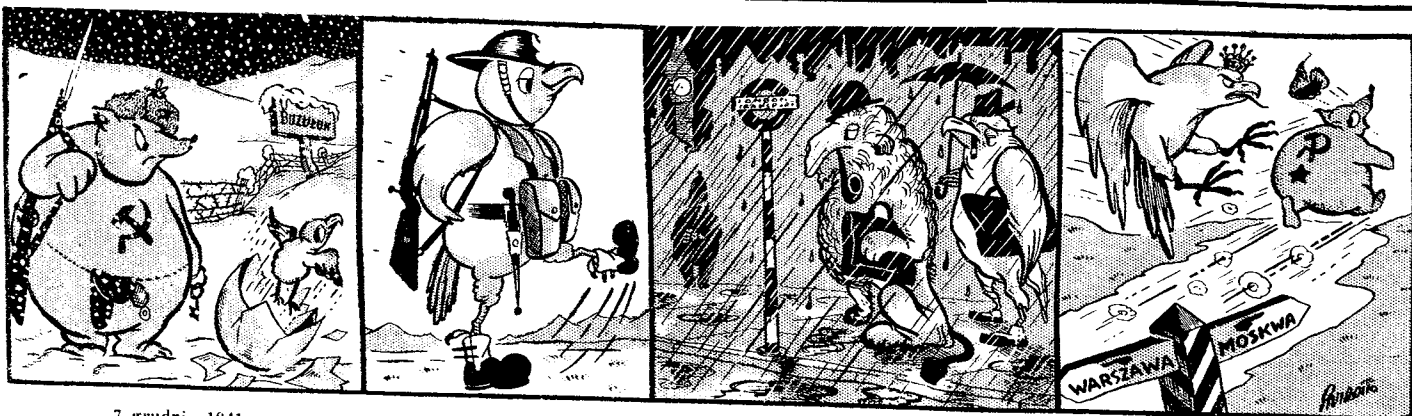
Jeden z ostatnich numerów, wydany  
w Palestynie w dniu 13 lutego 1944  
r. poświęciliśmy demonstracyjnie Zi-  
emni Wschodnim.

Pracę naszą w Palestynie bardzo  
kępowała w początkowym zwłaszcza  
okresie przewencyjna cenzura pale-  
styńsko-brytyjska. Miała ona cechy  
dość nieprzyjemne. Pamiętam rozmo-  
wy Czapskiego z cenzorem w King Da-  
vid Hotel w Jerozolimie. Cenzor do-  
magał się m. in. usunięcia z naszego  
słownictwa przymiotnika „bolszewicki”.  
Naprawdę wskazywaliśmy, że  
przymiotnik ten znajduje się w ofi-  
cjalnym tytule partii komunistycznej.  
Cenzor jednak uważał, że w języku  
polskim określenie to ma wydźwięk  
ujemny. Subtelnie uczuło w odnie-  
sieniu do sowieckiego „sojusznika”  
nie miała wówczas granic. Później  
z ramienia brytyjskich władz wojsko-  
wych, przydzielony został do redakcji  
cenzor wojskowy Polak, który robił  
co mógł, by iść nam na rękę.

Oczywiście, stanowisku pisma prze-  
ciwstawiał się Mikołajczyk i jego ur-  
zędnicy. Przedstawiciel premiera  
Mikołajczyka w Kairze, min. Strass-  
burger rozpoczął z nami walkę. Pisał  
skargi, twierdził, że jesteśmy stosun-  
ki polsko-sowieckie, chciał pismo za-  
mknąć itd. Oczywiście nic nie wskó-  
rał, nie popuścił nawet stosunków mię-  
dzy polskimi i brytyjskimi czynnikami  
wojskowymi, które należały do  
stwierdzić, zawsze były dobre i kole-  
żeńskie, mimo trudności politycznych.

Do Włoch udawaliśmy się z rado-  
cią. Nareszcie Europa! Czekaliśmy nas  
jednak nowe rozczarowania w drodze  
do Italii.

W obozie przejściowym w E-  
gipcie dowiedzieliśmy się o przemo-  
wieniu Churchilla w Izbie Gmin, po-  
twierdzającym, że w Teheranie zapadły  
decyzje, godzące w najżywniejsze  
interesy naszego narodu, i prowa-  
dzące do nowego rozbioru Polski.



7 grudnia 1941

1942—1945

2 lutego 1952

Oby jak najprędzej!

## WE WŁOSZACH

W niewielkim miasteczku górskim w Apeninach w Campobasso ukazał się pierwszy numer „Orla Białego” na ziemi włoskiej. Po wielu latach sportykaliśmy się znowu z Europą i z wojną. Front nie był odległy, ale życie w Campobasso, zapelnionym wojskiem płynęło beztrosko i wesoło, jak w każdym mieście garnizonowym. Piosenka „Lili Marlen” święciła największe tryumfy. Przed nami zaś wysunęły się nowe zagadnienia. Pamiętam długie rozmowy w gronie kolegów redakcyjnych wywołane powolnym ujawnianiem tajemnic, konferencji teherańskiej. Pamiętam dyskusje na temat stanowiska, jakie winny zająć oddziały Armii Krajowej na ziemiach wschodnich wobec wkraczającej na ziemie polską armii wraczonej. Czy mają się one ujawnić? Czy też zachować swój konspiracyjny charakter i wycofać się na Zachód? Z największymi obawami myśleliśmy o planach „ujawniania się”, nie mogliśmy bowiem uważać Rosji za lojalnego „sojusznika”, po poprzednich doświadczeniach. Tragiczna rzeczywistość miała nam przyznać całkowicie rację.

Pobyt w Campobasso wszakże to przede wszystkim dni poprzedzające bitwę o Monte Cassino. Przyjazd Wodza Naczelnego gen. Sosnkowskiego wnosil nowe ożywienie. Decyzja wzięcia udziału w tej bitwie i powierzenie żołnierzowi polskiemu tego najtrudniejszego w owym czasie zadania na froncie włoskim — zdobycia Góry Klasztornej — bo nie samego Cassino — elektryzowały nas wszystkich. Pamiętam wielką odprawę w Campobasso u Dowódcy 2. Korpusu, który zezwalał na stawianie mu wszelkich pytań z zakresu naszej pracy w Oddziale Propagandy i Kultury. I pamiętam jego słowa: „Zobaczycie, że przy końcu naszej kampanii włoskiej, Korpus będzie znacznie liczniejszy, niż obecnie. Polacy zaczną do nas zewsząd napływać.”

Istotnie już w tym okresie pobytu we Włoszech zobaczyłem pierwszych Polaków w mundurach niemieckich, zgłaszających się do Korpusu.

W związku z przerezuaniem oddziałów 2. Korpusu pod Monte Cassino — redakcję „Orla” przeniesiono do wyniszczzonego, obszarpanego Neapolu. Trudno było miasto to traktować jak dawniej z punktu widzenia turystycznego. Jedyne spacer do tablicy Słowackiego w dzielnicy Santa Lucia i krótki wypad do Pompei, stanowiły przerwę w pochłanianych nas całkowicie pracach związanych z wojną i z bitwą, która stała się tak bliską.

W numerze z dnia 21 maja 1944 r. ukazał się komunikat Sztabu 2. Polskiego Korpusu z dnia 18 maja 1944 r. donoszący, że „w ciągu popołudnia dnia 17. 5. oraz w nocy 17 na 18 oddziały 2. Polskiego Korpusu przełamały całkowicie obronę kompleksu wzgórz Monte Cassino.”

Witaliśmy ten komunikat z radością i dumą, ale i ze ściśniętym sercem, wiedząc o nieuniknionych stratach.

W czasie bitwy o Monte Cassino z ramienia redakcji „Orla Białego” przebywał na froncie ówczesny naczelny redaktor Józef Poniatowski. Udałem się po jego powrocie do redakcji do Korpusu. Trwały jeszcze zacięte walki o Piedimonte ten silnie umocniony „rygiel w linii Hitlera”.

W oddziałach zetknąłem się z nastrojem jeszcze niezastępiłej zaciętości bojowej, z tą całą atmosferą nieuciszzonego jeszcze rozgorączkowania, w jakim przeżywano niedawne, dramatyczne wydarzenia i szczegóły bitwy. Zdało się, że ziemia jest jeszcze ciepła od ognia i nasiąknięta krwią. Śmierć wydawała się bliską i bezpośrednią, a jej ofiary — nasi żołnierze — spoczywali jeszcze na stokach ponurych wzgórz jak „kamienie rzucone na szaniec”, jak wyzwanie rzucone światu.

Każdemu zwycięstwu towarzyszy atmosfera pewnej goryczy, a także swoistego cynizmu. Nad tymi nastrojami panował dowódca Korpusu. Razem z Józefem Czapskim i T. Bornholtzem udaliśmy się do kwatery gen. Andersa, który miał tegoż dnia otrzymać odznaczenie od Króla Jerzego VI. Zawsze pamiętałem będąc scenę w lasku oliwnym, gdy przed polskimi pocztami marszałka Alexandra, stanął gen. Anders i zwrócił się do żołnierzy ze słowami: „Pamiętajcie, że bijąc się o Monte Cassino, biliście się tylko o Polskę! Pamiętajcie również, że odznaczenie, które mam otrzymać, jest w moim rozumieniu odznaczeniem wszystkich żołnierzy 2. Korpusu.”

Słowa te wywołały ogromne wrażenie, i nadały wyjątkowej uroczystości, która wkrótce nastąpiła, właściwy charakter. Żołnierz polski bił się w tej wojnie przede wszystkim o Polskę i dla niej tylko ponosił najcięższe ofia-

ry. Odznaczenia, które otrzymywał od innych narodów, cenil wyłącznie jako dowody uznania od sojuszników dla swego kraju.

Przypomnienie o celu naszej walki było tym bardziej znamienne, że pomiędzy tym walczącym żołnierzem, a polityką międzynarodową wytwarzał się coraz niebezpieczniejszy kontrast. Żołnierz i jego Dowódca walczyli o Polskę całą i niepodległą, a tymczasem z mgławicy tajnych układów bez udziału Polski zawieranych, wylaniała się straszliwa wizja kraju naszego rozczłonkowanego i cynicznie oddanego przez sojuszników na łup Rosji.

Trudno było nam redaktorom, żołnierskiego „Orla Białego” nie ulec potężnemu wrażeniu, które pozostawiła ta niezwykła bitwa. Trudno było nie poprzysiąc w obliczu zabitych lub ciężko rannych żołnierzy polskich, którzy bili się w unięczeniu patriotycznym, że naszym obowiązkiem jest dalej walczyć o te zasady i te ideały, za które ten żołnierz ginął. Trudno było nie zapamiętać, że w ogromnej większości żołnierze 2. Korpusu, to byli nieustraszeni synowie Ziemi Wschodniej, które w przetargach z Rosją oddano z lekkim sercem Moskiewie. „Orzeł Biały” jako pismo nie mógł już zaprzeczyć tej legendy, która na stokach Monte Cassino powstała.

W tym też czasie widziałem się po raz ostatni w kwatery prasowej, gdzie gospodarzył W. Sikorski z ś. p. Adolfe Bocheńskim, który prawił komplementy za artykuł „Dlaczego we Włoszech?” „Artykuł przeciwdziałał się wykorzystaniu już wówczas nastrojów rozgorączkowania wśród Polaków w stosunku do Zachodu dla głoszenia hasła zerwania z Zachodem, z tym „tradycyjnym torem myśli i dokonania zwrotu w naszym kierunku myślowym”. Słowa te wymierzone były w poglądy późniejszego reżymowca Ksawerego Pruszyńskiego głoszone w piśmie londyńskim „Nowa Polska”, które już wówczas dokonywało zwrotu ku Rosji i przygotowywało grunt dla zdrady jałtańskiej. Stwierdziliśmy, że musimy iść mimo wszystko z Zachodem, nieraz wbrew jego woli i przeciwdziałając mu się w wielu wypadkach. Tego bowiem wymagają żywotne interesy narodu i tego żąda cała nasza tradycja. Ustalenie właściwego naszego stosunku do Zachodu, stawało się jednak zagadnieniem najtrudniejszym.

Krótko po zdobyciu Piedimonte przeżyłem drobne zadowolenie redakcyjne. Oto do zdobycia schronu, w którym znaleźli się żołnierze, jeszcze zmęczeni walką, niemal wyczerpani, przyniesiono wraz z pierwszą żywnością numery „Orla Białego” z wywiadem z Prezydentem Władysławem Raczkiewiczem na pierwszej stronie. No, nasza administracja się spisała...

Wkrótce potem znaleźliśmy się w Rzymie, w stolicy chrześcijaństwa oraz Italii. Pozostaliśmy tam przez przeszło dwa lata. Pobyt ten pozwolił nam zetknąć się z wielkimi zagadnieniami międzynarodowymi oraz ideologicznymi, z wpływem Stolicy Apostolskiej, z naszą ambasadą przy Watykanie, z przedstawicielami uciemiężonych narodów Międzymorza. Znalazło to żywe odbicie w publicystyce „Orla Białego” z tego okresu. Jednocześnie wzmagała się nasza walka z kierunkiem politycznym Mikołajczyka, z jego najrozmaitszymi pomysłami ustępstw wobec Rosji, planami przesuwania wschodniej naszej granicy coraz bardziej na Zachód itd. Artykuł Tadeusza Kocplia „Linia Mikołajczyka” otwierał tę kampanię, która nie miała zejść z łam „Orla Białego”. Przeżycia związane z odgłosami tragicznego Powstania Warszawskiego dzieliłiśmy z wszystkimi Polakami. Znane jest w tej sprawie stanowisko zarówno Dowódcy 2. Korpusu, jak i całego Korpusu. „Orzeł Biały” dawał temu stanowisku szczery wyraz.

Kontrast między polityką Mikołajczyka, a postawą 2. Korpusu zaczął przybierać coraz groźniejsze objawy. Żołnierz szedł swoją drogą, p. Mikołajczyk własną krętą ścieżką, która wiodła go do Moskwy. Wytwarzała się sytuacja coraz bardziej anormalna; rozdwojenie między rządem i wojskiem. Powstawało coraz więcej wątpliwości w szeregach, a nawet w samej redakcji „Orla Białego”. Co dalej robić? Jak reagować na coraz groźniej zarzuwającą się klęskę polityczną? Ta nieznosna sytuacja, która doprowadziła do kryzysu w zespole redakcyjnym przerwana została wreszcie dymisją Mikołajczyka. Z jaką radością i zadowoleniem witaliśmy rząd Tomasza Arciszewskiego. Znowu rząd był z żołnierzem, a żołnierz z rządem.

Numer 7/142 „Orla Białego” z dnia 18 lutego 1945 r. ukazał się z następującą notatką:

„Z powodów od redakcji niezależnych niniejszy numer „Orla Białego” ukazuje się z opóźnieniem”.

Notatka dość niezwykła, albowiem trzeba przyznać, „Orzeł” wychodził w różnych okolicznościach i na różnych miejscach postęgu z wzorową punktualnością. Opóźnienie tłumaczy pierwsza strona. Był to numer donoszący o układach w Jaltcie. Redakcja uparła się, że numer musi zawierać artykuł, omawiający ten haniebny układ z punktu widzenia polskich niepodległościowych interesów. Cenzor brytyjski nie chciał do tego dopuścić. Wszystkie redakcyjne artykuły o Jaltcie uległy konfiskacie.

Nie pomógł cały kunszt zawodowego dyplomaty, por. Krzyżanowskiego, b. sekretarza Ambasady Polskiej w Rumunii, a w tym czasie sekretarza redakcji „Orla Białego” (obecnie pracownika London Transport), by doprowadzić do porozumienia między redakcją i cenzorem. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że w Bolonii cenzor zgodził się na wydrukowanie w „Dzienniku Żołnierza APW” dwóch mocnych artykułów red. Rubla o Jaltcie. Te artykuły przedrukowałyśmy na pierwszej stronie i nie posłaliśmy ich do cenzora. Jeden z artykułów nosił tytuł: „Nie ugnijmy kolan”. „Orzeł” poszedł tak w świat...

Na pierwszej stronie późniejszego numeru znajdowały się podobizny Prez. R. P. Raczkiewicza, premiera T. Arciszewskiego i d-cy 2. Korpusu gen. Wł. Andersa. Poniżej zamieszczona była następująca depecha gen. Andersa do Prezydenta R. P.

Po Jaltcie mieliśmy już tylko jedno zadanie: utrzymać jedność w szeregach i zwartość ideową Korpusu. Rozwijał on wówczas szeroką działalność społeczną. Otworzyły się bramy dla licznie napływających Polaków z Niemiec, Austrii, obozów koncentracyjnych i z samej Polski. Zetknęliśmy się po raz pierwszy z żołnierzami Armii Krajowej i znowu stwierdziliśmy wspólnotę poglądów na sprawy zasadnicze, a zwłaszcza na politykę Rosji. „Orzeł Biały” przekroczył granicę Korpusu i Włoch i zaczął docierać do Niemiec, do Francji. Był przez tych nowych i spragnionych słowa polskiego czytelników rozchwytywany. W roku 1946 nastąpiła decyzja rozwiązania Polskiej Sił Brojnych, przeniesienia 2. Korpusu do Anglii, powołania PKPR.

Zgodnie z rozkazem dowódcy Korpusu opuszczaliśmy Włochy jako jedną z ostatnich placówek 2. Korpusu, po wyjeździe do Anglii gen. Andersa. Ostatni numer opisujący jego i Korpusu pożegnanie z Italią zawierał rozkaz pożegnalny dowódcy 2. Korpusu.

## JALTA

„Wobec ostatniego tragicznego dla nas komunikatu konferencji trzech, melduje Panu Prezydentowi, że 2-gi Korpus nie może uznać jednostronnej decyzji, oddającej Polskę i Naród Polski na łup bolszewikom. Pan Prezydent zgodnie z naszą przysięgą żołnierską jest nadal uznawany przez nas za jedynego reprezentanta Majestatu Suwerennej Polski, a rząd przez niego powołany w Londynie za jedynego legalny rząd Państwa Polskiego. Zachowujemy całkowitą dyscyplinę i spokój.”

(—) Anders, gen. dyw.

W kilka lat później mówił mi gen. Marian Kukiel o tym, jak doniosłe, historyczne znaczenie miała ta depecha jak i ówczesne zachowanie się 2. Korpusu. Były one dowodem — jak tłumaczył generał — ogromnego poczucia odpowiedzialności, która charakteryzuje jedynie wyrobionych obywateli państwa i prawdziwych mężów stanu. Wrogie siły oczekiwały, że na tle stosunku do Jaltty dojdzie do rozbiegów dyscypliny w wojsku, wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi i powstanie rozkładu, który uniemożliwi i ułatwi czynnikom nam niechętnym i popierającym Jalttę — ostateczne wycofanie się z zobowiązań wobec Polaków i zrzućcie całej odpowiedzialności za Jalttę — na nas. Stanowisko 2. Korpusu przyczyniło się wówczas waleśnie do utrzymania prawowitych władz polskich jako jedynego i właściwego ośrodka, kierującego dalszą walką o niepodległość. Odrzucaliśmy Jalttę, wnosiliśmy protest, ale tym silniej podkreślaliśmy wobec niedawnych sprzymierzeńców, że rządem polskim jest nadal prawowity rząd w Londynie, któremu mocarstwa sprzymierzone cofnęły uznanie. Nie pozwoliliśmy się rozproszkować. Polityka wielkich mocarstw nie miała na nas wpływu. Zostaliśmy na te czasy najgorsze sobą — Jednością. Państwem.

## PO JALTIE

su dla „Orla Białego”. Stwierdzał on m. in.:

„Po pięciu latach zamyka się dotychczasowy okres pracy tego pisma o wyjątkowej historii. Stwierdzam, że „Orzeł Biały” rozwijał samodzielną myśl, i wyrażając uczucia walczącego, zwycięskiego na polu bitwy żołnierza 2. Korpusu, stworzył zarazem jedno z najpoważniejszych, najsilniej i najszersze promieniujących ognisk polskiej twórczości duchowej w tej wojnie... Nie darmo ze strony wrogów naszej sprawy ostrą przeciw „Orłowi Białemu” prowadzono kampanię... Duch wytrwałości i wiary w ostateczne zwycięstwo, który ożywił żołnierza polskiego był wyrazem ducha żołnierskiego pisma 2. Korpusu „Orla Białego”.

Rozkaz zaznaczał, że „nie skończyły się jeszcze zadania wam wyznaczone”.

Opuszczaliśmy Włochy w głębokim przekonaniu, że układ, który powstał w Jaltcie nie może być trwały i że w niedługim czasie obróci się on przeciw zachodnim kontrahentom Stalina. Nie słabła nasza wiara w wywołanie Polski.

## W BELGII

Przeniesienie „Orla Białego” do Belgii postanowił o nas wobec nowych warunków pracy „cywilnej”. Rozpoczęliśmy naszą działalność w Brukseli, późną jesienią 1946 r. niemal jednocześnie z odbywającym się tam pierwszym, ogólnopolskim, powojennym zjazdem uchodźstwa wojennego, z wydaniem przez niego znanej deklaracji politycznej ustalającej wytyczne dla dalszej walki o wolność i niepodległość, mimo Jaltty i wbrew Jaltcie.

Emigracja powojenna określała swoją polityczną postawę, stwierdzającą swój przede wszystkim polityczny charakter i swój cel niepodległościowy. Tygodnik „Orzeł Biały” stawał się również przede wszystkim pismem politycznym emigracji. W czasach, gdy po zakończeniu działań wojennych pozostawała tylko polityczna i ideowa walka z wrogiem i okupantem, zadanie „Orla Białego” było prowadzenie dalej tej właśnie walki.

Nasz przyjaciel i długoletni współpracownik p. Zygmunt Markiewicz w artykule, który znajdą czytelnicy na innej stronie, nazwał ten okres „Orla Białego” najświetniejszym. Istotnie szata graficzna pisma i jego objętość, bogactwo tematów mogły zaspokoić najwybredniejsze gusta. Dla redakcji ówczesny „Orzeł” pozostał z dziennikarskiego punktu widzenia do pewnego stopnia wzorem. Był on wyznaniem rzuconym ówczesnemu rozczarowaniu, zanikowi wiary, fałj pesymizmowi, kryzysowi zaufania — które towarzyszyły przymusowej demobilizacji i powstaniu PKPR. Ale również postawa polityczna „Orla Białego” uczyniła z niego zjawisko dość odrebne

Polski w Londynie, które inaczej nie mogłyby być prawdopodobnie podane do publicznej wiadomości.

Skorzystaliśmy też z pobytu w Belgii, by rozpowieścić „Orla” we wszystkich środowiskach polskiej emigracji i nadać mu charakter łącznika między rozproszonymi po świecie Polakami. Dbaliśmy bardzo o utrzymanie tego „ogólnopolskiego” charakteru pisma. Trudno tu nie wspomnieć o szczególnych zasługach w tej dziedzinie naszego ówczesnego kierownika administracji w Brukseli, red. Tadeusza Sypniewskiego. W dużej mierze, dzięki tym wysiłkom właśnie, stało następnie rozwijającym, zwłaszcza gdy chodzi o Stany Zjedn. — „Orzeł Biały” jest dziś czytany przez Polaków w 22 krajach świata zachodniego, szczególnie wyjątkowy w historii prasy polskiej.

## W ANGLII

Przeniesienie „Orla Białego” w maju 1949 r. do Anglii stało się oczywiście i konieczne z chwilą, gdy w Co. Brytanii rozwiąły się zluźnienia co do współpracy z Rosją i przywrócone zostały warunki swobodnego wypowiedziania się w sprawach międzynarodowych, a także w sprawach polskich. Nasze miejsce było tam, gdzie znajdował się ośrodek polityki polskiej. Pobyt nasz w Belgii był od samego początku traktowany jako tymczasowy i poniekąd przymusowy. Udać się tam, sądziliśmy, że pozostaniemy w Belgii rok, tymczasem spędziliśmy tam dwa i pół lata.

W Anglii musieliśmy się dostosować do miejscowych trudniejszych warunków wydawniczych. Nasza szata graficzna zeszkroniała. By utrzymać się w szacie „belgijskiej”, musieliśmy „Orla” wydawać nadal w Belgii i posiadać tam, jak w ogóle na kontynencie kilkanaście tysięcy czytelników wśród emigracji powojennej. Tymczasem ta podstawa czytelnicza odpylna z Europy, wskutek masowego wyjazdu Polaków z Belgii, Niemiec, Szwajcarii.

Natomiast tematyka „Orla Białego” pozostała w Anglii ta sama, a nawet mogliśmy w Londynie pismo znacznie uaktualnić. W przeciwieństwie do okresu belgijskiego zaczęliśmy pracować w Anglii w okresie znacznego ożywienia życia politycznego, społecznego i kulturalnego we wszystkich środowiskach polskich. Jeżeli w Belgii trzeba było wyszukiwać tematy polskie, w W. Brytanii redakcja nie może podobać napływowi materiałów, które otrzymuje z całego niemal świata. Stąd uzasadnione niezar pretensje naszych czytelników, korespondentów i współpracowników.

Idee, które głosiliśmy i głosimy, uświadomiliśmy się, przestały być czymś wyjątkowym i odrębnym, choć i w tej dziedzinie mamy swój własny akcent i własne stanowisko. Nie chcemy i pilnujemy, by sprawa polska nie rozplynęła się w ogólnej frazeologii, antyrosyjskiej i antykomunistycznej, byśmy nie stali się narzędziem obcych systemów politycznych, by walka z Rosją i komunizmem nie nabierała dla nas cech czysto negatywnych, gdyż celem naszym musi pozostać walka o wolną, niepodległą i całą Polskę — posiadającą należne jej miejsce w wolnym świecie. Walkę tę chcemy prowadzić z uczuciem odpowiedzialności za państwo polskie, a zatem pod kierownictwem prawowitych władz państwowych polskich.

Ta ostatnia faza naszej działalności jest jednak zbyt bliska, by się o niej szerzej rozwódzić.

R. P.

## PROTEST

Udział Stanisława Mikołajczyka w konferencji Komisji Wschodniej Ruchu Europejskiego spotkał się z protestem kół niepodległościowych. Wyrazem tego jest następująca uchwała powzięta na zebraniu Kola S. P. K. 25 w Edynburgu:

„Członkowie Kola SPK 25, obecni na zebraniu informacyjnym w dniu 20 stycznia 1952 r. w Domu Kombatanów w Edynburgu, zwracając się do Rady Oddziału SPK Wielka Brytania o podjęcie odpowiednich kroków dla zaprzestowania przeciwko występowaniu na konferencji Komisji Wschodniej Ruchu Europejskiego Stanisława Mikołajczyka w charakterze przedstawiciela Polaków.”

Dalej jesteśmy od zajmowania jakiegokolwiek stanowiska partyjno-politycznego, będąc jednak wszyscy w obozie niepodległościowym, przypominamy, że Mikołajczyk głosił w sejmie w Warszawie za oddaniem Sowietaom wschodniej Polski, z której znaczna część z nas pochodzi, jak również głosił w tymże sejmie za pozbawieniem obywatelstwa polskiego szeregu kombatanów, b. naszych dowódców w czasie wojny. Nie ma więc prawa — mimo zerwania z rządem Bieruta — występować w imieniu polskiego obozu niepodległościowego.”

W. S-ki.

ZBIGNIEW RACIEŃSKI

# PIERWSZY ROZDZIAŁ

Step Orenburski, jak niedźwiedź, zapadał na coroczny zimowy sen. Każdy dzień dodawał nową puszystą warstwę do śnieżnego całunu zalegającego szczeleń olbrzymie tereny od Moskwy do Uralu i dalej poprzez azjatycką bramę aż do brzegów Pacyfiku. Przy tej transsyberyjskiej drodze żelaznej, pomiędzy Kujbyszewem i Czakotowem — bo tak się teraz nazywają Samara i Orenburg — na przedpolu azjatyckich bezkresów przycupnęło miasteczko o tatarskiej nazwie — Buzułuk.

Niebrzydki nawet miasteczko. Drewniane domy w wielkoruskim stylu, zdobne w bogato rzeźbione okapy i rozłożyste, góssne ganki, rozsiadły się po gospodarstwu w sporych ogródkach wzdłuż szerokiej i prostych ulic. W lecie, gdy kwitną maliny, fuksję i słoneczniki, może tam być nawet pięknie i przyjemnie, ale ciekawość o wesołych, kolorowych fasadach domów i przestrzynnych, pełnych słońca i powietrza ulic, ponuro jakoś odbijają postacie mieszkańców, biedne, jak gdyby wiecznie wystraszone, wynędzniałe i smutne.

Spadają z kalendarza kartki ostatnich tygodni roku 1941... Na Zachodzie, u wrót sowieckiej stolicy Moskwy, toczy się bitwa, która może zdecydować o losach wojny. Stalowe zagony Hitlera podchodzą pod Leningrad, są na Krymie i nad Donem. Ale w sennym Buzułuku, wojna niemal ze śladów swych jeszcze nie zaznaczyła. Bieda, jak była, ta jest. NKWD — też. Węgla — nie było przedtem, nie ma i teraz. Ani „sacharu”. Ludzie? Tyle, że pracować muszą jeszcze dłużej — „dla rodziny i Stalina” — i, że chleba dostają mniej. I kolejną jeździć „nie liza”. No cóż — wojna. Wiadomo.

I byłby Buzułuk — jak tyle innych miast położonych w głębi Rosji — przespalał ten okres snem ludzi pół-żywych, nietknięty szponami wojennych orłów, odizolowany od wydarzeń najpewniejszą tarczą Rosji — przestrzeni, gdyby nie nastąpiła inwazja najmniej spodziewana. Przyjechali Polacy — Dowództwo tworzącej się w Sowietach Armii Polskiej z Generałem Anderssem na czele.

Zakotłowało w Buzułuku. Na ulicach zapanowała polska mowa, jak później w Bagdadzie, w Bolonii czy na Earls Courtie. Maszerowały oddziały śpiewające piosenkę o rozmarynie, rozrebrzyły się orzelki na futrzanych czapach, w „gorodskim” teatrze występowała polska rewia a nad najpiękniejszym gmachem w mieście, białym, empirowym pałacem, w którym mieścił się kiedyś klub okolicznych bojarów, zawisła biało-czerwona flaga. Tam było serce armii — Sztab.

Tu, jak muzamanie do Mekki, spływać poczęli Polacy ze wszystkich zakątków olbrzymiego państwa, z łagrów, więzień i posiołków. Chorzy, głodni, obdarci i zawzeni. Ale wszyscy bez wyjątku, ożywiłi jakąś mistyczną wiarą w lepsze jutro, rozplonieni gotowością do dalszych ofiar i poświęceń. Potrzebowali chleba, ubrania, lekarstw i mydła, ale na równi tych doczesnych dóbr pragnęli wiadomości. Stawali długimi ogonkami przed obozowymi gazetkami ściennymi, chłonąc chciwie każdą niemal literę. Odcieci tak długo od wszelkich źródeł prawdy, chcieliby byli jak gdyby jednym skokiem dogonić utracony czas.

W tych warunkach „urodził” się 7 grudnia 1941 r. tygodnik „Orzeł Biały”. Ojcem chrzestnym był General Anders, który też sam wybrał imię dla noworodka. Najtroskliwszą nianką nowego pisma stał się „Zdzibau”, czyli Zdzisław Bau, najpopularniejszy później dziennikarz polski w rejonie Morza Śródziemnego, który, jako korespondent wojenny zdobył złote ostrogi we Włoszech, Francji, Grecji i Austrii. Entuzjazmowi, energii i niezwalczonemu urokowi osobistemu „Zdzibau” zawdzięcza „Orzeł”, że nie zadusiła go w okresie niemowlęctwa niechęć niektórych wpływowych oficerów sztabu, którzy z początku patrzyli na szarogłoszenie się kilku „strzelców z cenzurem” — bo takie „szarże” posiadali redaktorzy „Orla” — z co najmniej tak wielkim oburzeniem, z jakim kolegium kardynalskie przyjęło propozycje uznania za równych kleryków jakiegóż seminarium duchownego.

„Orzeł Biały” na przestrzeni swego dziesięcioletniego istnienia przechodził oczywiście, w miarę zmiany warunków, w których się ukazywał, pewną ewolucję. Z pisma wojskowego „apolitycznego”, stał się pismem wojskowym o wyraznie zabarwieniu politycznym, by z kolei przekształcić się w organ cywilny, czysto polityczny. Ale pod jednym względem nie zmienił swego kierunku na jotę. Od chwili wyjścia z Rosji, od jesieni 1942 r., gdy Niemcy stali jeszcze zwycięsko pod Stalingradem i Moskwą, „Orzeł” wolał o czujność w traktowaniu zagadnień związanych z Sowietami, demaskował ich obłudę, wskazywał na niebezpieczeństwo, jakie z tamtej strony grozi.

Nie mieliśmy żadnych złudzeń i obawy swe wypowiedzi otwarcie. Byliśmy za to atakowani ze wszystkich stron.

LUDWIK RUBEL

# NAPRZÓD Z DALEKA - POTEM OBOK

Przez polskich bolszewików, przez prof. Kota i jego agentów i przez brytyjską cenzurę wojskową. Był zresztą „Orzeł” pod tym względem tylko wyraziście myśli, doświadczeń i instynktu całego chyba wojska. Bo można dziś, w świetle ostatnio ogłoszonych dokumentów, powiedzieć bez obawy narażenia się na śmiech, że ciura obozowy w 2-gim Korpusie trzeźwiej i realnie ocenił plany i taktykę Sowietów aniżeli Prezydent Roosevelt i jego doradcy.

Kiedy przed dziesięć laty spod rozklekotanego „pedału” wypadać zaczęły pierwsze egzemplarze nowego pisma w drukarni polowej w buzułuckim „sztabie”, nie przewidywaliśmy, że ten skromny tygodnik wojskowy nie tylko stanie się jednym z czołowych wyrazieli polskiej myśli politycznej na obczyźnie, ale też, że przeznaczona mu jest przyszłość tak urozmaicona i droga tak barwna, jakiej nie było chyba w dziejach dziennikarstwa. Szlakiem zagonów Tamerlana i Xenofontowskiej Annabasis, po śladach biblijnych wędrowek i krzyżowych wypraw, przez morze-kolebkę naszej kultury — na trakty wydeptane stopami Legionów Dąbrowskiego szedł „Orzeł” towarzysząc żołnierzowi w jego wojennej wędrowce.

Etapy dziejów „Orla” łączy się ściśle z wydarzeniami opisanymi w książce jego założyciela: „Bez ostatniego rozdziału”. Etap ostatni dokonana się wówczas, gdy powstaną warunki umożliwiające napisanie tego brakującego rozdziału.

O powstaniu „Orla Białego” i o spartanich warunkach, w jakich pracuje nowe pismo, dowiedziałem się w dalekiej, spokojnej Kanadzie, gdzie wydawałem od lata 1941 r. tygodnik żołnierski „Odsiecz”, jako pismo tworzących się z Oceanem polskich oddziałów wojskowych. Redakcja „Odsieczy” stanowiła komórkę sztabu gen. Ducha, szefa Polskiej Misji Wojskowej, a warunki techniczno-wydawnicze, jakie zrealizowałyśmy, były wprost komfortowe: wspaniała drukarnia o kilkudziesięciu linotypach, nowoczesne urządzenia fotograficzne, reprodukcyjne itd. itd.

W pewien poranek zimowy pocztą z Londynu przyniosła nam paczkę listów i fotografii, przysłanych przez t. zw. Biuro Propagandy Wojskowej. Wśród fotografii znalazła się — obok zdjęć z obozów tworzących się wojska polskiego w Rosji — zmniejszona odbitka pierwszej strony pierwszego numeru „Orla”. Ze wzruszeniem odczytywaliśmy przy pomocy szkła powiększającego słowa rozkazu gen. Andersa witającego przybycie do Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego.

Dla nas, którzy opuściliśmy Kraj we wrześniu 1939 r. Wojsko Polskie na obczyźnie nie było się dotąd w praktyce jedynie z t. zw. emigracją wrzesniową (Rumunia, Węgry), względnie ze środowiskami Polonii zagranicznej. Armia Polska we Francji utworzona została z tych właśnie elementów ludzkich; to, co

z tej armii zdołało się uratować po pogromie Francji, stanowiło Polskie Siły Zbrojne w Wielkiej Brytanii. Nie mieliśmy natomiast żadnego kontaktu z ludźmi „stamtąd”, t. j. z Kraju, których oddzieliła od nas ściana niemiecka i bolszewicka.

Wyjątek stanowił w naszym gronie redakcyjnym Ryszard Kiersnowski. Przybył on bowiem do Kanady wraz z grupą uchodźców z Wilna, którym udało się wyjechać spod okupacji sowieckiej legalnie na rzekomą wizę... Curaçao i która drogą do Wojska Polskiego tworzącego się na granicy Kanady i Stanów Zjednoczonych znalazła poprzez Syberię i Japonię. On jeden zmroził nastrojów świąteczny wytworzony pierwszymi zdjęciami z życia tworzącego się w Sowietach Wojska Polskiego sceptycznymi uwagami: „Widziałem tych bolszewików, będzie z nimi nasze wojsko miało ciężkie życie. Nic im nie wierzę”.

Ten głos pesymistyczny nie zdołał zmniejszyć entuzjazmu, z jakim powitaliśmy pierwszy widomy dla nas znak życia naszych kolegów, którym los pozwolił być współczesnikami wielkiego dzieła odrodzenia na obcej, nieprzyjemnej ziemi, Sił Zbrojnych nieugiętego i niezłamanego kłęską wrzesniową Narodu. Numer „Orla Białego” był dla nas zwiastunem nowych wielkich przeobrażeń w naszym położeniu polityczno-wojskowym. Przescigaliśmy się wzajemnie w optymistycznych obliczeniach na temat siły liczebnej, wojska polskiego na Wschodzie i radowaliśmy się, że w wojnie światowej, która ma rozstrzygnąć także i o losie Polski nasze ramie zbrojne nie będzie zbyt krótkie i zbyt słabe. „Orzeł Biały” stanowił dla nas symbol cudownego odradzenia się polskiej woli walki o całość i niepodległość Ojczyzny.

Minał rok... Powróciłem z Kanady do Londynu i po krótkim pobycie w stolicy W. Brytanii wysłany zostałem do redakcji codziennego pisma żołnierzy tej armii. Opuściłem Wyspę z końcem października 1942 r. i porzez Brazylię, Południową Afrykę i Indie przybyłem w samo święto Trzech Króli do tymczasowej stolicy polskiej na Środkowym Wschodzie — Bagdadu. W tym czasie wiedziałem już wiele o losach wojska polskiego w Rosji i jego cudownym uratowaniu się od zaradki poprzez ewakuację na Środkowy Wschód.

W Bagdadzie przeczytałem z zaniemalowanym oddechem świeże numery „Orla Białego”. Mimo iż przygotowany byłem psychicznie na ich treść — stanowiły one dla mnie prawdziwą rewelację. Atmosfera tego pisma była całkowicie odmienna od wszystkiego, co misaliśmy i co czytaliśmy na Zachodzie. Każdy numer „Orla Białego” formułował w sposób śmiały i bezkompromisowy program

potgotowia polskiego do walki na dwa fronty: walki zbrojnej z niemieckim najezdzą i walki politycznej z „sojusznikami naszych sojuszników”, Rosją Sowiecką. Program ten tkwił głęboko w świadomości wszystkich Polaków, którzy przeszli piekło sowieckie. Dla nas, przybyszów z Zachodu, nowością stanowił postulat równoczesności walki z Niemcami i z „wschodnim sojusznikiem”. W Londynie mówiło się wówczas, że trzeba przede wszystkim skoncentrować wysiłek na walce z Niemcami; odparcie uroszczeń sowieckich — to rzecz późniejszego czasu. Armia polska na Wschodzie i jej dowódca odrzucali stanowczo wszelką próbę odkładania na później walki o prawa Polski do Ziemi Wschodnich i do jej prawdziwej niepodległości. Artykuły „Orla” uderzały swą odwagą i bezkompromisowością; były one naprawdę instrumentem bojowym.

Dalszą drogę odbywaliśmy już razem. Wspólnie przeżywaliśmy okres pobytu Armii Polskiej na Wschodzie, w Palestynie, a potem we Włoszech. „Dziennik Żołnierza A. P. W.”, który w jesieni 1943 r. zastąpił pół cywilne pismo wychodzące w okresie irackim („Kurier Polski” w Bagdadzie), współpracował ściśle z „Orlem Białym”. My, w „Dzienniku” informowaliśmy żołnierza o wydarzeniach i wskazywaliśmy na zadania narodowe i polityczne, przed jakimi wszystkim nas stawia bieg wypadków. „Orzeł Biały” pogłębiał w umysłach żołnierskich ideologię Polski Waleczącej.

Rola „Orla” w tym zakresie była wielka i twórcza. Pamiętam wstrząsające wrażenie wywołane w szeregach 2. Korpusu artykułem „Orla” z 25 czerwca 1944 r. „Linia Mikołajczyka”. Artykuł ten był napisany w związku z podróżą Mikołajczyka do Waszyngtonu i z wiadomościami o jego zgodzie na t. zw. „linię demarkacyjną”, która miałaby przebiegać przez ziemię polską na Wschodzie. Artykuł „Orla” był prawdziwym dzwonem na alarm.

Żołnierz 2. Korpusu miał już za sobą wspaniałe zwycięstwo pod Monte Cassino i stał w ogniu dalszych walk. Pismo tego żołnierza głosiło twardo, że naród polski nie zgodzi się nigdy na dobrowolną kapitulację i że niezłomnie trwa przy swoich prawach do całości i niepodległości Rzeczypospolitej. Temu prostemu, jasnemu i uczciwemu programowi politycznemu pozostałe „Orzeł” wierny do dziś dnia bez żadnych wahań i żadnych odchyśleń. Jest organem żołnierzy polskich choć żołnierzom tym odebrano mundury i broni.

Bez melancholii patrzę na winięty tytułową „Orla Białego” i na zawarte w niej słowo: Zwycięzcy. Wczoraj było ono zwołaniem bojowym, dziś jest ono wyzwaniem racjonalnym losowi, jutro stanie się rzeczywistością naszego życia.

## TROSKA I RÓŻE

*Choćbym poddmuchnął wypił z ogrodu najłżejsze,  
Kiedy oddychają róże, pękając od soku;  
Nic się nie dowiem o życiu, choć żyję pomatu.  
W chryżych różgach róż kępy ruszają co roku  
Na przechadzkę po parku, kwiaty co czerwienią  
Rozsypując po ścieżkach; białe, te od śniegu bielsze,  
Cienkimi warstwami rozpylają pod murem.  
Leżą płatki, jak na brzegu morskim obrażona od upału,  
W szarych zaspach, sól rozmywaną, niezwiędzła;  
Smugami, zapachem żywym od piasku odstata.*

*U rozkwitłej mowry blyszczą tłuste, płaskie liście.  
Trzeba chyba pójść tam, spytać jedwabnika,  
Co będzie z ogrodem? — Siedzi cicho pod soczystym listkiem  
Drżący i spocyny. Oczka, jak główki szpilek, natęga świetliście,  
Produkując ostrożnie zieloną nitkę. Ból go przentka,  
Gdy ciecz gorącego jedwabiu wytryska na róże,  
Stygąc w powietrzu. — Oprzęd zgasł. Jeszcze fosforowym*

*blaskiem  
Zaświecił raz jedwabnik i ukończył kokon. — Potem jego łoże  
Zdejmuje z liścia, by tknąć z niego sztandary i całun.*

MARIAN CZUCHNOWSKI.

# PRZED DALESZĄ DROGĄ

W dniu 25 sierpnia 1943 r. w artykule „Z zasadami czy bez zasad” p. Józef Pomiatowski, ówczesny naczelny redaktor „O. B.” pisał m. in.:

„Stanowisko Polski nie może ulegać wątpliwości. Zwalczamy oportunizm nie tylko dlatego, że może on prowadzić do kompromisów bezpośrednio zagrażających naszym interesom. Zwalczamy również oportunizm jako taki, jako źródło rozstroju w świecie. Nie chcemy żyć w świecie anarchizowanym, a i nasze położenie geograficzne nie do nam nie pozwala. Przywrócenie elementarnych zasad współżycia jest niezmiernie trudne, ale to zadanie warte jest wspólnego wysiłku”.

Istotnie uważamy, że w czasach obecnych bezprzekładnego kryzysu, gdy toczy się walka o podważenie zasad, na których oparta jest cywilizacja zachodnia — wszystko co od zasad tych odbiega skazane jest na klęskę.

Jakie są nasze zasady? Bardzo proste. Są one zawarte w przysiędze żołnierskiej, wielokrotnie na łamach „Orla Białego” przytaczanej. Oto jej tekst: „Przysięgam Panu Bogu Wszchemogącemu, w Trójcy Świętej Jedynej, być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu i Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódców i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnicę wojskową walczyć do ostatniego tchu w piersiach i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Meka. Amen.

Przysięga ustala nasze stanowisko w sprawie obowiązku walki o niepodległość, w sprawie granic, jak i w sprawie lojalności wobec prawowitych władz państwowych na emigracji z Prezydentem R. P. na czele.

Skoro stoimy na stanowisku dalszej walki o wolność, całość i niepodległość, innych zasad niż te, które są zawarte w tekście przysięgi żołnierskiej — przyjąć nie możemy.

Pewni krytycy takie proste stanowisko uważają za „jednostronne”. Zarzucają nam brak giętkości, wielostronności, nawet doktrynerstwo. Zarzuty te dobre znamy. Spotykały one nas i wtedy, gdy przeciwstawialiśmy się polityce ustępstw wobec Rosji, Jałcie, Mikołajczykowski, polityce „neutralności”, pomysłem o „trzęsieniu sił”, porzuceniu legalizmu, wyrzekaniu się w praktyce czy rozległości nie jest uznawany przez obce mocarstwa, na rzecz komitetu, który uznanie takie łatwiej jakoby uzyskał itd.

Nie pozwoliliśmy sobie jednak wythumaczyć rzekomą „wielostronnością” myśli takiego czy innego żelazku, choć oczywiście każdy żelazek można uzasadnić najbardziej karkołomną dialektyką. Tymczasem „wielostronność” nie jest wcale dowodem na mądrość czy rozległość horyzontów myślowych. Często rzekoma „wielostronność” poglądów świadczy o braku wszelkich poglądów i o dyktantwie politycznym, lub co gorzej ukrywa poglądy i zamiary o b. c. Zresztą dotychczas nie znamy przykładu, by oportunizm lub ludzie odchodzący od zasad w polityce polskiej mogli się poszczycić jakimikolwiek sukcesami. Przeciwnie, politykę ich znaczą same klęski.

Nieporozumienia, które na tym tle powstają między nami i naszymi krytykami, mają zapewne dwa zasadnicze źródła: jedno, to różnica poglądów na metody działania politycznego. Są tacy, którzy uważają, że polityczne sukcesy zdobywa się jak nagrody za dobre zachowanie się w stosunku do partnerów i za bezinteresowne oddawanie im usług. Co do nas, patrzymy na politykę jako na nieustanną walkę, nie tylko z wrogami zdeklarowanymi, ale w innej formie i w razie koniecznej potrzeby również z partnerami i sojusznikami. Wszystkie narody, które do czegoś dążyły, tak właśnie na politykę patrzyły. „Nie za darmo i niepotrzebnie” — to była ich wytyczna. Nie przekształcała ona współpracę z tymi partnerami, wobec których była stosowana, gdyż i oni te wytyczne wyznawali. Na tym właśnie polega realna polityka.

W położeniu „Orla Białego” jeszcze jeden motyw grał rolę zasadniczą: „Orzeł Biały” został założony jako pismo żołnierskie. I z żołnierzem tym siedzi długie lata. Posiada dlatego wobec niego zobowiązania moralne. Widzieliśmy jak ten żołnierz walczył i ginął. Ginał dla Polski całej i niepodległej. A zatem w naszym rozumieniu również polityka polska nie mogła odbiegać od założeń ideowych, na których opierała się postawa żołnierza walczącego i zwyciężającego.

Po drugie, podstawą działania politycznego w naszym rozumieniu, może być tylko, choćby najskromniejsza, siła własna. Nie zastąpi jej nigdy najpotężniejsza siła obca i układy, ustalające zależność wobec obcych potencji. Rzecz jasna, nie można prowadzić polityki w oderwaniu od obcych państw i narodów. Należy tylko dbać, by wobec nich zachowywać postawę partnera, a nie klienta. Siłą, na której się opieramy, jest naród polski, największy z narodów ujarzmionych w Europie — i emigracja polityczna, która jednak, jeżeli chce, by się z nią liczone, musi zachować własne oblicze oraz maksimum jedności i porządku organizacyjno-politycznego. Dlatego winna ona dawać poparcie polskiemu rządowi prawnowitym i Skarbowi Narodowemu. Legalizm jest dziś najważniejszą naszą atutem i podstawą w walce o odzyskanie praw naszych na gruncie międzynarodowym.

Nie możemy się dopatrzeć w tych założeniach żadnej „jednostronności” i ubolewamy, że niektórzy tak je oceniają. Nasza postawa nie wyłącza „wielostronności” poglądów na inne sprawy, mniej zasadnicze, szukania nowych idei i syntez. Lamy nasze były zawsze otwarte dla wypowiedzianych różnych opinii i prowadzenia dyskusji. Mamy wrażenie, że w „Orle” niejednokrotnie pierwsi zwracaliśmy uwagę na doniosłe przemiany występujące po wojnie, np. na wzrastającą rolę St. Zjedn., nie zauważając jeszcze parę lat temu w polityce polskiej, na zmiany społeczno-gospodarcze, zachodzące w świecie demokratycznym itd.

Szukanie oparcia we własnym narodzie ma jeszcze tę dobrą stronę, że jest zgodne z założeniami zdrowej demokracji. Spośród wielu form demokracji, której sprawdzianem bynajmniej nie jest tylko wielość stronnictw i rządy oligarchii, bezpośrednie odwoływanie się do narodu jest zawsze najpewniejsza, zwłaszcza, gdy ma się do czynienia z narodem tak patriotycznym, ofiarnym, lojalnym — jak polski.

Pisząc to, myśliśmy o poparciu, które pismo nasze uzyskało natychmiast wśród Polaków, którzy mimo więzień, łagrów, śledstw — pozostali wierni Rzeczypospolitej. Myśliśmy też o dzisiejszych naszych czytelnikach rozproszonych po tyłu krajach świata wolnego, a jednak związanych są samą myślą patriotyczną, tą samą ideą. Jesteśmy dumni z tego, że staliśmy się jednym z łączników między nimi. I prosimy ich o dalsze poparcie.

„Orzeł Biały” założony w Rosji przez gen. Andersa, związany z żołnierzem polskim, był na przestrzeni 10-letniego dzieła wielu ludzi, redaktorów, publicystów, drukarzy, zecerów, pracowników administracji, kolporterów. Trudno ich wymienić z nazwiska, lista byłaby długa i należałoby wówczas pisać historię pisma, na co jest za wczesnie. Nie wymieniamy zwłaszcza nazwisk, które wciąż ukazują się na łamach „Orla” i należą do pisarzy i współpracowników, tworzących rozgałęzioną rodzinę „orkową”.

Niech wolno nam będzie tylko przypomnieć dwie szczególnie zasłużone dla pisma postacie zmarłych: s. p. Romana Hausnera, naczelnego redaktora „Orla Białego” w Rosji i w początkach okresu bagdadzkiego oraz s. p. Tadeusza Kopcia, sekretarza redakcji „Orla Białego”, w okresie palestyńskim i włoskim, a następnie jego przedstawiciela we Francji.

Wspominamy całą naszą przeszłość, której się nie wstydzimy, by z większym jeszcze zaufaniem i wiarą iść dalej po drodze wytkniętej do celu jedynej, dla którego istniejemy — do Polski Wolnej.

ZYGMUNT MARKIEWICZ

# Dziesięć lat „Orła Białego”

Dziesięć lat to smat czasu w życiu człowieka; dla pisma w dodatku tygodniowego, idącego szlakiem żołnierskiej wędrówki to okres szczególnie długi, najeżony przeróżnymi trudnościami, w którym miasta o nazwach egzotycznych znaczą etap jak ziarnka różańca.

Czytelnik „Orla” od czasów rosyjskich, a od 8 lat piszący do niego, chce dziś przemierzyć wraz z gronem najstarszych jego odbiorców długą drogę wspomnień. Któż z nas cudem ocalałych z więzień i obozów śnieżnej Rosji nie spotkał się w drodze do wojska z wieścią o gazecie polskiej, kto z zapartym oddechem nie szukał na szpaltach nowego a tak od początku popularnego pisma wieści o bliskich rozsiadaniach po niezmiernych obszarach Z. S. R. R.? Każdy numer był zaczytywany „na śmierć” przez kolegów szukających swych bliskich. Z czasów tych pozostał mi w pamięci jedynie tytuł, ów orzeł symbolizujący niepodległą Polskę oraz długie łamy poszukiwań rodzin i bliskich. Wspomnienie o istotnej treści pisma rozplynęło się w wędrówkach po 3 częściach świata.

Z przejazdem do Iraku wiąże się inne, nieco lepiej utrwalone wspomnienie. Na piaskach Khanaqun czy Kirkuku „Orzeł” stał się nieodłącznym towarzyszem. Drukowany w większym nakładzie, tak że szczęśliwy posiadacz numeru nie był oblegany przez dziesiątki czytelników jak w Rosji, „Orzeł” wraz z codziennie wychodzącym „APW” zakorzenił się w tradycji obozowej. Z tych czasów utkwiły mi w pamięci artykuły Józefa Czapkiego o poszukiwaniu jeńców Kozielecka i Starobielska, felietony ś. p. Anatóla Krakowieckiego i Bielatowicza, rysunki Matuszczaka i Westfalewicza. W świecie wrażeń wzrokowych do dziś pamiętam również twarz Araba, który w obozie pod Kirkukiem dostarczał nam „APW” a raz na tydzień „Orla”.

Z pobytom w Palestynie kojarzą się inne wspomnienia. Gdy „Orzeł” i „APW” wchodziły na drogę normalizacji, gdy coraz skuteczniej dotrzymywały kroku pracującym w dużym komforcie pismom żołnierza angielskiego, dla nas zaczynały się czasy manewrów naprzód w górach pod Jerozolimą i Berszebą a potem „wielkich” od Latrunu po Haifę. Pobyt gen. Sosnkowskiego — pogłoski o marszu szlakiem Legionów Dąbrowskiego — oto co wiąże się ze wspomnieniem o „Orle” w Palestynie. Również widok pięknego kibucu pod Tel-Awiv, gdzie stała obozem drukarnia „Orla” utkwił mi w pamięci, choć nazwa nie utrwalała na papierze (Petah-Tikwa *przyp. Red.*) dawno „przeminięła z wiatrem”.

Z krótkiego stosunkowo pobytu w Egipcie nie wyniosłem żadnych specjalnych wspomnień, związanych z „Orlem”; nie wiem jakim cudem ale sędził zawsze blisko oddziałów I-go rzutu i nawet w okresie przeprawy do Włoch dochodził bez większego opóźnienia, co było nielada wyczynem.

Włochy! Z pierwszą kwaterą „Orla” w Campobasso na via Roma, niedaleko siedziby sztabu Korpusu kojarzą się wspomnienie długiej rozmowy o Norwidzie i Wierzyńskim z Józefem Czapkim, przelotne spotkanie z Bielatowiczem, wracającym do oddziału na wieść, że zaczyna się „coś poważnego”, krótka korespondencja z Giedroyciem w sprawie współpracy. A potem Neapol w okresie Monte-Cassino. W tym mniej więcej czasie zacząłem współpracę, przez pierwszy rok skazany na zawodną pamięć, prawie bez książek, często pisząc na mapniku z braku stołu. Zupełnie niezwiązany z „Pijarami” (Public Relation Officers) należąc do oddziałów korpusek, rzadko gościłem w redakcji „Orla”. Dopiero w okresie, gdy stanął on zwycięsko w Rzymie, zacząłem poznawać redakcję i administrację na Corso Vittorio Emanuele, w klasztorze koło Colosseum i wreszcie w polskiej Komendzie miasta.

W tych czasach bujnego rozwoju tygodnika, gdy zasięg jego przekroczył Włochy, gdy tysiące egzemplarzy przedostawały się do Francji i Niemiec, postawa jego zaczęła mu powoli zjednywać zwolenników wśród ludzi, dla których pismo wskutek wrogiej propagandy, poprzedzającej głuchą wieścią „Orla”, było synonizmem „czarnej reakcji” jeśli nie „czarnej sotni”. Pamiętam w okresie, gdy pierwsze numery dostały się do rąk cywilnej ludności na południu Francji (gdzieś w kwietniu 1945) jakim przeżyciem były dla niej artykuły, które wśród pow-

szecznego wówczas „kadzenia” na cześć Stalina — obowiązującego w prasie we Francji — ośmielały się pisać o nim jako o „przyjacielu naszych przyjaciół”. Pamięć pionierskiej roboty ś. p. Tadeusza Kopcica wiąże się ściśle z tym okresem.

Lata 1945-47 uważam za najświetniejszy okres w rozwoju „Orla”. Przebywając już wtedy w kraju niepozabawionym inteligentnie redagowanymi prasami, miałem niejednokrotnie sposobność stwierdzić jak w zakresie wiedzy zwłaszcza o Rosji i o przemianach zachodzących na Bliskim Wschodzie polski tygodnik bił na głowę poważne pisma francuskie zarówno przewidywaniem rozwoju wydarzeń jak i wyciąganiem z nich wniosków. Nie mówiąc już o zasadniczej postawie i decyzji niewracania do kraju tudzież odporności na propagandę sowiecką, które to przekonania były zupełnie niezrozumiałe dla Zachodu. Artykuły Piestrzyńskiego, Prądzyńskiego i Klingi z tego okresu należały do arcydzieł publicystyki politycznej. Wtórował im z mniejszym nerwem dziennikarskim lecz z większą może dozą argumentacji Z. Stahl.

Z chwilą gdy zapadła decyzja przerwania „Orla” z Belgii, idealnej dla niego siedziby, do Londynu, zaczął się nowy — daj Boże ostatni — rozdział pisma „Polski walczącej o niepodległość”. Zmienione warunki sprawiły, że tygodnik nie mógł wytrzymać konkurencji z szybko rozwijającą się po zastoju wojennym prasą Zachodu, że walczący z trudnościami materialnymi „Orzeł”, nie zmieniając linii zasadniczej, musiał przystosować swe łamy do potrzeb czytelników rozsiadanych po wszystkich kontynentach. Bez wątpienia pismo zszarzało jak zszarzało nasze życie w tym trudnym okresie wyczekiwania na wielkie zdarzenia.

Lecz to — jak mówi Kipling — jest już inna historia i pisać o tym będą inni ludzie z innej perspektywy, do-tychczas dla nas niewidocznej.

## WĘDRÓWKA »ORLA BIAŁEGO«

Pierwsze numery „Orla Białego”, od numeru 1-go do numeru 26/7 (30/1) ukazały się w Rosji Sowieckiej. Wydawane były przez Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR i tłoczone w Polskiej Drukarni Polowej w ZSRR. Pierwszy numer wydany w Rosji nosi datę 7 grudnia 1941 r., ostatni 26 lipca 1942 r. Dziesięć pierwszych numerów „Orla Białego” w ZSRR wydano w Buzuluku. Następnie w Jangi Jul. Numery: 28 (32) i 29 (33) z 20 września 1942 r. i 4 października 1942 r. ukazały się na terenie Persji. Jako wydawca figuruje Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty na Wschodzie. Nr 28 (32) zawiera rozkaz gen. Andersa o powstaniu Armii Polskiej na Wschodzie, złożonej z Polskich Sił Zbrojnych z ZSRR i Środkowego Wschodu.

Od numeru 30 (34) noszącego datę 8 listopada 1942 r. „Orzeł Biały” wydawany był w Bagdadzie bez przerwy do dnia 5 września 1943 r. W pierwszym numerze, który ukazał się w Iraku, znajdujemy notatkę następującej treści:

„Połączenie Armii Polskiej ZSRR z Wojskami Polskimi na Środkowym Wschodzie, pozwala na ześrodkowanie wysiłków w wielu dziedzinach, m. in. także w dziedzinie prasowej. W związku z tym dowódca Armii Polskiej na Wschodzie rozkazał połączyć wychodzące dotąd odrębnie tygodniki wojskowe: „Orzeł Biały” i „Ku Wolnej Polsce” pod wspólnym tytułem „Orzeł Biały”.

W Bagdadzie „Orzeł Biały” wydawany był w Drukarni Polowej. Jako wydawca figuruje: Wydział Informacji i Oświaty Armii Polskiej na Wschodzie. W dniu 5 września 1943 r. ukazał się ostatni numer „Orla Białego” wydany w Bagdadzie jako numer 35 (74).

Nr 36 (75) z dnia 12 września 1943 r.

### KOMITET DLA SPRAW OŚWIATY POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII

zawiadamia, że zamierza uruchomić w najbliższym czasie ostatni i skrócony Kurs w

### POLSKIEJ SZKOLE ROLNICZEJ W GLASGOWIE

Termin rozpoczęcia Kursu zostanie ustalony w zależności od napytów zgłoszeń. W każdym razie kurs rozpocznie się najpóźniej 1 marca 1952 r. i zakończy się 30 listopada 1952 r.

O przyjęciu na Kurs mogą ubiegać się kandydaci w wieku od 16 do 23 lat, a byli członkowie Polskich Sił Zbrojnych lub P. K. P. R. w wieku do lat 35, zdolni do pracy fizycznej w gospodarstwie rolnym.

Kandydaci będą poddani egzaminowi sprawdzającemu z języka polskiego, angielskiego, matematyki i wiadomości przyrodniczych w zakresie programu 6 klas szkoły powszechnej.

Przyjęci na Kurs uczniowie, nie posiadający własnych środków utrzymania, będą mogli ubiegać się o stypendia w Komitecie dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, 72, Cadogan Square, London, S. W. 1.

O terminie egzaminu kandydaci zostaną zawiadomieni pisemnie.

# Życie kulturalne w kraju i na obczyźnie

## ROZBUDOWA ZAGADNIEN KULTURALNYCH

Londyn, 29 stycznia 1952.

W traktowaniu emigracyjnych zagadnień kulturalnych zarysowuje się bodaj przełom, który może doprowadzić do pokonania dotychczasowego kryzysu. Różne są tego wskaźniki. Konferencja Ruchu Europejskiego zwróciła na zagadnienia kulturalne emigracji szczególną uwagę. W powziętych uchwałach przewidziano szeroko zakrojony plan pomocy na cele kulturalno-oświatowe, m. in. w postaci stworzenia nowych stypendiów dla młodzieży, nowych katedr dla profesorów, nowych instytutów badawczych dla uczonych, i poparcia poprzednio pro-

wadzonych prac emigracyjnego ruchu wydawniczego na zachodzie przez zachodnio-europejskie firmy wydawnicze. Jeśli chodzi o posunięcia na gruncie czysto polskim, to oprócz inicjatywy Funduszu Wydawniczego, o której jeszcze raz była mowa w noworocznym nrze „O. B.”, powstały inne zamiary, które są w toku realizacji. Poza rozpoczęciem wykładów na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie wymieniać należy zakończenie prac organizacyjnych w Instytucie Badania Zagadnień Krajowych po wyłonieniu kierownictwa sekcji Badania Kultury. Poza tym na drogę realizacji wszedł pomysł t. zw. Teatru Wyobraźni, polegającego na nagrywaniu na płyty patefonowe polskich sztuk, które będą mogły docierać do najdalszych ośrodków polskich rozsiadanych po całym świecie. Sprawa jest w rękach ZASP i Orbisu i przypuszczamy, że w najbliższej przyszłości będziemy mogli szczegółowo poinformować czytelników o tej bardzo interesującej imprezie.

Wspomniany wyżej stan rzeczy znalazł również wyraz podczas ostatniego posiedzenia Rady Kulturalno-Oświatowej. Wśród złożonych komunikatów przez dr. Giergielewicza i red. J. Ostrowskiego dotyczących Instytutu Badania Zagadnień Krajowych, PUNO i Teatru Wyobraźni, szczególną uwagę zwrócono też na zorganizowanie dodatkowego kursu dla wojskowych i młodzieży przez Szkołę Rolniczą w Glasgowie. Ten roczny kurs dla zainteresowanych ostatnią sposobność uzyskania tą drogą niezbędnej wiedzy fachowej, gdyż szkoła z końcem b. r. ma być zlikwidowana. Poza tym opracowany został już przez specjalną komisję i wydany przez Zrzeszenie Naukowców Polskiego programu nauczania na kursach przedmiotów ożywczych. Praca ta liczy 60 stron in folio powielonego maszynopisu.

Oprócz odbywającego się co wtorki w Domu Harcerza cyklu wykładów pt. „Dzieje Ziemi Wielkiego Księstwa Litewskiego” urządzonych przez Społeczność Akademicką Uniwersytetu Stefana Batorego, doskonale zapoczątkowany został przez prof. W. Folkierskiego cykl piątkowych wykładów o „Beniowskim” Słowackiego, urządzony przez Instytut Kultury Polskiej pod kierownictwem M. Pawlikowskiego. Wręcz rewelacyjne komentarze oparte na nowych odkryciach prelegenta rzucają arcyciekawe światło na ten wciąż aktualny poemat i twórczość Słowackiego w ogóle.

W tej atmosferze prac kulturalnych bardzo wybitne miejsce przypadło też zebraniu naukowemu Stowarzyszenia Polskich Ekonomistów w Polskim Ośrodku Badań w dniu 23 ub. m. Złożył się nań referat pt. „Dynamika populacyjna w dzisiejszej Polsce” mgra Jerzego Zubrzyckiego, absolwenta uniwersytetu londyńskiego i wykładowcy PUC, pracującego nad zagadnieniami socjologicznymi i demograficznymi, jak go przedstawił zebraniem prof. Grodyński. Wyczerpujący dostępny materiał, młody uczyony w sposób ścisły i przejrzysty wykazał szczególną preżność życiową narodu polskiego, jaka ujawniła się w okresie od spisu w lutym 1946 r. do spisu w grudniu 1950 r., pomimo wielkich strat wojennych. Mówca wyraził nadzieję, że tak jak naród nie dał się złamać okupantowi niemieckiemu, tak również oprze się dewastacyjnym zarządzeniom nowego zaborecy i z 25 milionów załadnienie obecnych (w jatkąńskich granicach) obszarów Polski (bez ziem wschodnich) wzrośnie do 27,5 a może i 30 milionów ludności w r. 1960. Dla charakterystyki stanu obecnego wystarczy przykład, że praca nocna kobiet nie jest obecnie chroniona, duży procent kobiet zatrudnionych jest w hutnictwie i włókiennictwie w nocy i czas przeznaczony na sen u niektórych z nich spada do kilku godzin na dobę. Kobiety zaś pozostające w domu przy dzieciach i gospodarstwie są pozbawione prawa do przydziału żywności.

Bardzo dokładnie udokumentowane wywody prelegenta znalazły uznanie wśród zebranych w dyskusji. Obecni byli m. in. wybitni znawcy zagadnień demograficznych w kraju, jak Józef Poniatowski, wykładowca SNP i S., i autor wybitnych publikacji, oraz b. min. rolnictwa Juliusz Poniatowski, przybyły z Paryża.

Szczególnie serdeczny nastrój panował na odczytanie art. dram. J. Bzowskiego w „Ognisku” o „Początkach Polskiego Teatru Żołnierskiego” z 22 ub. m., połączonym z zagajaniem przez p. Jundził-Balińską i wręceniem prelegentowi przez dra Guenthera nagrody ufundowanej przez dra Kłupta w sumie £25.-, którą zdublował niespodzianie A. Bogusławski w imieniu „Dziennika Polskie-

go”. Zebrani, wśród których nie brakło wielu kolegów laureata, urządzili wielką owację swemu seniorowi.

Omówienie premiery nowej sztuki Teodozji Lisiewicz wystawionej przez Teatr Sztuk Czytanych pt. „Madame X-ow” i wznowienie przez Teatr im. Słowackiego komedii Stefana Kiedrzyńskiego „Kobieta, Wino i Dancing”, granę obecnie na prowincji — musimy odłożyć na przyszłość. (n)

### KONCERT POLSKIEJ PIANISTKI W AMERYCE

Dnia 11 stycznia 1952.

Niemal w rok po wyjeździe Haliny Neuman-Jankowskiej z W. Brytanii do Stanów Zjednoczonych A. P. zaczęły nadchodzić pierwsze echa jej pracy artystycznej i pedagogicznej na nowym terenie. Pierwszy jej koncert publiczny odbył się w Griffith Auditorium w nowojorskiej dzielnicy New Jersey. Na program jego zostały się utwory kompozytorów klasycznych, jak Bach, Mozart, Beethoven i Schuman oraz nowoczesnych, przeważnie polskich, a mianowicie obok Szopena — Szymanowski i Rathaus oraz Debussy. Licznie zebrana publiczność i recenzenci muzyczni przyjęli polską pianistkę bardzo przychylnie. Sprawozdawca fachowego czasopisma „Musical America” podkreślił przede wszystkim wnikliwą interpretację Debussy’ego, wyrobienie koncertowe wirtuozki, dużą jej muzykalność połączoną z biegłością techniczną, wykazaną zwłaszcza w „Wariacjach” Beethovena, i podniósł szczególnie zasługę z powodu „zapoznania słuchaczy z kompozycjami Szymanowskiego, jednego z najbardziej interesujących współczesnych kompozytorów polskich” oraz „wspaniałą interpretację, którą częściowo można przypisać gruntownemu życiu się p. Neuman z jego utworami”.

P. Neuman-Jankowska znana była czytelnikom naszym ze swych występów na różnych koncertach w W. Brytanii i na prowincji, urządzanych dla słuchaczy polskich i obcych, m. in. w londyńskim British Council, oraz ze swych recenzji muzycznych i tanecznych oraz artykułów literackich na łamach naszego pisma. Obecnie jest profesorem fortepianu w jednej z nowojorskich wyższych szkół muzycznych. (J. J.)

### WYSTAWA SZTUKI SŁOWIAŃSKIEJ W MONTREALU

(t. s.) Piętnastu artystów polskich, 9 rosyjskich, 33 czeskich i słowackich oraz 21 ukraińskich brało udział w wystawie sztuki słowiańskiej w hallu Uniwersytetu Montrealskiego. Organizatorem wystawy, która wzbudziła wielkie zainteresowanie kulturalnego świata kanadyjskiego, było Centrum Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Montrealskiego, kierowane przez prof. Domaradzkiego.

W otwarciu wystawy uczestniczyło kilkadziesiąt osób z rektorem Uniwersytetu Mgr. Olivier Maurault na czele. Obecny był również prezydent Fundacji Paderewskiego w New Yorku E. S. Witkowski, któremu rektor podziękował za pomoc udzielaną polskim studentom.

Wystawa zgromadziła blisko 200 obrazów, rysunków, plaskorzeźb i miedziorytów, rozmieszczonych według grup narodowościowych. W dziale polskim wystawiali: Zofia Bobrowska, Oktawiusz Jastrzębski, Hanna Kali-Weynerowska, Rajmund Kanelba, Marian Kratochwil, Stefan Kontski, Maciej Morawski, Elżbieta O'Rourke, Zofia Romer, Maria Schneider, A. Setkiewicz, Maria Mazur-Strawińska, Zbigniew Suchodolski, Z. Sygilla-Mazur oraz Marek Winred.

Wystawa zorganizowana została pod patronatem arcybiskupa Montrealu Mgr. Léger. Przewodniczącym komitetu honorowego był biskup słowiańsko-bizantyński Mgr. Izidor Borecky, komitetowi wykonawczemu przewodniczył Marek Winred. Działem polskim kierował Oktawiusz Jastrzębski.

### PIEPRZ CZARNY

ziamisty 1/2 kg. do Polski wraz z opłatą pocztową 23/9  
**NYLONY Gauge 54** z pary 23/-  
**Kawa Nestle** i lb. z przesyłką 15/-  
**Manson Laboratories & Sales Co.**  
 IMPORTER & WHOLESEALER  
 255, OLD BROMPTON ROAD,  
 LONDON, S.W.5 Tel.: FLA 9131

### P C A RADIO SKLEP I WARSZTAT RADIOTECHNICZNY SPK

PROWADZONY PRZEZ INŻYNIERÓW SPECJALISTÓW  
 Sprzedaż odbiorników telewizyjnych zwykłych, produkujących marek angielskich (również na spłaty).  
 Własny transport.

170, GOLDHAWK ROAD, LONDON, W.12 — tel. SHE 4946.

Gdy kobiety wróciły do celi, nie paliła się już żarówka nad drzwiami, ale i dzień jakby jeszcze nie nastąpił. Wchodząc po kolei, zanurzały się w zmrok niemal dotykając i oporny. Nie zobaczyły więc od razu „nowej”. Dopiero pisk Martynki ją oznajmił: — Taż to „titka”, taż to Franiowa! — Maria, siedząca już na swoim miejscu, zapytała niegłosem: — Jaka Franiowa? Czy matka Jurka?

Pytanie przepadło w gwarze i tylko Martynka zajęta się przybyłą. Wyłuskując Franiową z grubej granatowej chustki i z płaszcza, pogadywała szybko i beznadziejnie jak do gościa, który przyjechał niespodzianie, strudzonej daleką podróżą. Czy próbowała swoją porcję chleba? Czy jest już po śniadaniu? Czy była w ubornie? Poddając się gwałtownym ruchom Martynki, Franiowa wstawała, przysiadła, obracała się. Pierśi trzęsły się pod luznymi kaftanikami, szpakowate włosy zlepionymi kosmykami obsypały twarz rozgrzaną i odętą. Zaciskając wargi jak w milczącym gniewie, nie raczyła spojrzeć na Martynkę. Na nikogo, bo oczy skryła pod nabrzmiałymi powiekami.

Długo trwało, zanim ocknęła się ze snu czy z otępienia: — Gdzie jestem? — Chciała wiedzieć między jakie kobiety trafiła. Tyrając się dotychczas od celi do celi, wszędzie i wszystkim stała na zawadzie. Bywało, że dniem i nocą w kuci na podłodze, pod drzwiami. I tutaj ciasno i tutaj zakrzyżowały ją, gdyby nie „swojaczka” Martynka.

Ciągle jeszcze nie otwierała oczu, sobie samej zając się na to, co przeszła. Ale Martynka przykleiła obok, jak suseł na straży i — kiedy aresztowali ciotkę? — Ano wtedy, jak wszystkich wygnali z mieszkania, wtedy, jak i Martynkę. Franiowej jako „chazijańce” kazali czekać do końca, aby była przy zamykaniu drzwi i przykładaniu smolowych pieczęci. Trzeba rzetelnie powiedzieć, że sprawiali się cicho, chociaż jednego ze swoich trupem wynieśli z mieszkania.

Martynka śmieszkała oczami w stronę Romy, czy nie za dużo tego paplania? Franiowa wsłuchiwała się jednak w siebie, żeby dojść do jakichś odległych początków, przed tym nie zauważonych albo umyślnie pomijanych. Nie dociekała przecież, dlaczego jej syn zgodził się na posługacza w więzieniu zamiarstwowym, mimo, że był monterem. Polegając na jego rcszadku, w niczym mu nie radziła i niczego nie odradzała. Mądry jest i zawsze sam sobą kierował. Mądry, ale cóż? — przychycyli go. I to gdzie? — we własnym mieszkaniu. Z tego, co jej powiedział „śledowatiele”, jedna tylko pociecha, że Jurko, chociaż ranny, żyje i żyć będzie. To też Bogu dziękuję, że i ją aresztowali. Na wolności, nie wiedząc co z Jurkiem, zagryzłaby się na śmierć.

— Czy siedzą tu Ukraińcy? — zapyta zniechęta. Zaraz ją otoczyły, i Roma resztę wyznał Franiowej przytulając sekretnym szepceniem. Po coby na głos o tym, co Franiowa całe życie w sobie tłamsiła? Niezaprawdę jed-

nak, bo teraz, gdy tak w cztery oczy z Romą, podruszyło się od dna i pchało do gardła. To, to właśnie, że Jurko tylko w połowie jest Ukraińcem, a może i tyle nie, skoro Ukrainom, że dziecko bierze z matki krew i pokarm. Niechże i tak, że pół na pół. Niech i to, że Jurko z dobrą wolą wybrał ukraiństwo. Czy za to należało mu się wyznaczenie najniebezpieczniejszą robotę? Może być, może być — mniej go żalowali niż swoich.

— I Polacy także nie mają pełnego prawa do Jurka — przyświadczyła Romie. Wraz jednak przypomniał się Franiowej ojazd syna na front. Była na dworcu i, jak inne matki, rzewnie płakała. Ale w sercu — Boże przebac — w sercu sama radość, samo u-niesienie, że jej syn nosi ten mundur. Jurko wydawał się jej jeszcze bardziej urodziwy, chyba najładniejszy z wszystkich. Pożegnał się z nią po polsku: — „Bądź zdrowa, mamó, nie smuć się, nie każdy ginie na wojnie”. — Nawet uśmiech Jurka był polski, bo wesoly i przechwalny. Pomyślała wtedy, że syn się odmienił i takim już zostanie.

Zanadto się pośpieszyła z tymi myślami i teraz nie tylko Jurko, ale i ona w więzieniu za ukraińską sprawę. — W żadnej, w żadnej robocie! — zaszepiała tak blisko, że Roma musiała odchylić się wstecz i nastawić obronnie lokcie. — W żadnej, ani w polskiej, ani w ukraińskiej!

Roma przyznawała w duchu, że nie powinno się dopuszczać mieszaniów do bojowej organizacji. Gdyby jednak stosowano zbyt ściśle rygory i Roma nie zasługiwałaby na bezwzględne zaufanie. Do tej pory, chociaż od śmierci babki minęło sporo lat, tęskniła za jej uśmiechem, żartem, czułością. Bodajże tęskniła za nim, stojąc w zapachu jej sukni, za ruchem ręki nalewającej jej zupki na talerz. Babka Zofia lubiła opowiadać wnukom o przeszłości, jakie stawiła rodzina jej małżeństwu z Janem Białym. O to im szło, że był wachmistrem austriackiej żandarmerii. Tym jej dopiekali, że w takich czasach nie uważano, czy Polak czy Rusin, a Ukraińców nie było jeszcze na galicyjskiej ziemi. Dziadek, jak kto chciał — dla swoich Iwan, służył Johann, dla niej Jan. Na nagrobku „Jan Biały”, bez „i” na końcu nazwiska. — Ale mnie i to, co dzisiaj się dzieje, nie przeskądza kochać was.

— Kocham, kochacie — przedrzeźniała Roma babkę, która mówiła po polsku nie na przekór tylko z przyzwyczajenia. Charkotliwe słowo pozostało jednak na zawsze współdziałaniem miłości. Brzmiało bowiem gorąco i kruszyło serce stwardniałe w bojowej robocie. I teraz nie należało lekceważyć uczuć Franiowej. Kocha swoje-go syna tak bardzo, że może stać się szkodliwa. Nie na rękę więc było Romie, że zrobiono Franiowej miejsce na łóżkach, gdzie — jakżeby inaczej? — same Polki. Zaprosiła ją Maria Łuzińska po dawnej znajomości.

Franiowa aż ręce znalazła: — Ta sama, czy nie ta sama? — Wtedy, jak tę jedną noc spały obok siebie na łoż-

ku w kuchni Franiowej, po cichu dzi-wiała się młodemu ciału tej niemłodej, dobrze już siwej kobiety. A dzisiaj Franiową młoda przy pani Łuzińskiej.

Znającym Marij ruchem poglądziła się po obfitym biuście, ściągając praklowane wazgi. Wszystkie straciła! Z dnia na dzień! W paczce, która tu, na piersiach leżała bezpiecznie, była sama stółki. Ze złości buchnęła ją własną ręką w ogień, pod błachę. Palilo się to powoli, ale można było li-czyć banknot za banknotem. Odwi-lało się w zarze pojedynczymi sztu-kami, najpierw czerwone, potem czarne z wyraźnym obrazkiem Kościuszki, z czytelną cyfrą „100”. Aż rozspalo się na podgórku. Podruszyła pogrzu-baczem, odparnęła do czysta z rusztu, z popielnika na kopatkę i do paki ze śmieciem. Koniec z polskimi pienię-dzmi! Za czerwonce pierz cudze brudy, czerwonoami płac za chleb!

Franiowej przdzielono na łózkach miejsce po Jance, pod mokrą ścianą. Nie narzekała jednak, jak tamta biedusia, nie dochodziła swojej krzywdy, czy też równego prawa z innymi. Chwaliła sobie sąsiedztwo z Marią, którą kiedyś przygarnęła. Zadzrosne wymówki Martynki — „porzuciła nas ciotka” — podnosiła walor Franiowej, to też z ochotą schodziła na dół, żeby użyć także Ukrainkom. Roma jakby już czekała z ważnym słowem, które poczekał i oświecało. Czy Łuzińska wspominała o przysługach Jurka dla niej? Martynka zauważyła z przekąsem, że nie takie one skóre do wydawania swoich sekretów.

Zatem Franiowa, nie zwlekając, za-czępnie do Marii — dlaczego narażała Jurka? — pokaz przysłał do domu po-bity, rozaleczony, osmało oka nie stracił. Czy aby nie za usługi, jakie Marii świadczył, tak go tutaj urządzili? Jakże tak, żeby matką nie miała prawa wiedzieć? A nuż zapytają na śledztwie. Lepiej jak najmniej wie-dzieć? — stropiła się. Nie, nie taka głupia, jak się zdaje. — Za posługacza, za lokaja był tutaj u wielmożnej pani Łuzińskiej! — wybuchła złością.

Wypomniała gościnę, zdeptaną po-sadzke, niewytarty błat kuchni po wybiegłym mleku, swoją wyprawę na drugi koniec miasta za pokojem dla Marii, a wreszcie ciężką skrzynkę, którą Jurko poniósł na plecach. Ma-łoż to zrobili dla pani Łuzińskiej, ona i Jurko? W tych czasach wziąć ob-cego człowieka prosto z ulicy pod swój dach, to mało? Mogli panią Łu-zińską aresztować w mieszkaniu Franiowej i wyliby z Jurkiem o rok wcześ-niej trafili do więzienia. Mogło, czy nie mogło tak się stać?

Mówiąc głośno i kłótliwie, skubała Marię za rękaw to za nogawkę py-

HERMINIA NAGLEROWA

jamy. Sprany, od dezynfekcji stłają materiał dziurawiac paznokciami, za-cietrzywała się: — Żadnego prawa nie miała pani Łuzińska do Jurka! Ukrainiec przecież!

Po tym jednak, co usłyszała od Ma-rii, oświadczyła Romie: — Nie tylko wam, Polakom także pomagaj. — Od-bierając Romie polską połowę Jurka, zasnalały nieuro zadośćuczynienia, gdyby nie surowo ściągnięte brwi dziewczyny. — Jurka aresztowali w naszej sprawie i wy tutaj tak samo za nas. Na śledztwie musicie zezna-wać tylko to, co wam każę. Ani słowa więcej! — Patrząc na zapersoną twarz Franiowej, przemawiając do niej twardo, Roma wiedziała już, że Jurko nie żyje. Ktoś ledwo słyszalnym stukaniem powiadomił ją z są-siedniej celi, że ciężko ranny nie od-zykwał przytomności przed śmiercią. Jeszcze tego samego dnia Frania-wo przeniosła się na dół. — Nie daj Boże wyrwać się na śledztwie z czymś niepotrzebnym i zaskłodzić Jurkowi — usprawiedliwiała się przed Maria. — Nic nie wiem o ich robocie, a po prawdzie, nie chciałam wiedzieć. Dla-tego syn mój mnie kochał i wrócił do mnie, jak odwołiałam po drugim me-żu, po tym Franiu właśnie, z którym się nie lubiła.

Odeszła. Karolina Droszowa ina-czej o tym: — przeszła do Ukrainek. Zabrakło jednak Karolinie energii, żeby walczyć o duszę Franiowej. Na tyle już potrafiła się hamować, żeby i Marij nie robić niepotrzebnej z powodu wtajemniczenia tak wziętej osoby, jak Franiowa. Po niewczasie zreszta, bo właśnie wywołano Franiową na przesłuchanie. Wychodziła z celi gru-ba, jakby wprzeczana zwierzeniami Ma-rii. Natomiast instrukcje Romy na-dawały jej postaci sztywność, a twarz wyraz skupienia.

Spostrzeżenia te robiła Karolina na własny użytek. I to również dla własnych wniosków — że Maria bezstan-nie porusza wargami, jak człowiek, gdy mu żęby dygocą z zimna lub ze strachu. Lecz i Roma nerwowo sple-tała i rozplatała palce podczas długie-go czekania na powrót Franiowej.

Franiowa była jeszcze na korytarzu, gdy usłyszano jej lament. Wszedłszy do celi, od razu padła na siennik i rwał włosy, bijąc się pięściami po głowie, wołała Jurka. Najpierw tylko jego imię z przeciągłym wyciem, po-tem zawodziła żalobnie o Jurku i o so-bie. Ręka Romy popiekła jak rozżar-zone żelazo. — Za was, za was go za-bili!

Pchnąwszy od siebie Romę, legła, mycząc jak krowa po odstawieniu cie-

S Y

(FRAGMENT Z POWI

łącia. Wtedy dopiero odważyła się Maria i zszedłszy z łóżek, usiadła ko-bi Franiowej. Cóż więcej mogła zrobić, jak siedzieć i milczeć? Nic, nie już tutaj nad przylgnięciem ramieniem, chociaż i to oznaczało powszednią nie-wygodę ciasnoty. Poczwszy dotyk Franiowa uniosła głowę. — I ty mo-żesz! — zawołała groźnie. Mimo to nie opierając się, dała się Marii za-prowadzić do łózka.

Tutaj, placząc cicho, z przyjętym pragnęciem bodaj głosu drugiego czło-wieka. Zaszło jej w gardle, jak w upalny dzień. — Poratujcie, dajcie trochę wody! — Zdawało się jej, że między prośbą a spełnieniem miały długie godziny. Wypiwszy łapczywie wodę, nie otrzeźwiała wcale i głowę za ciężką do dźwigania, oparła na ra-mieniu Marii. Ale znowu miały go-



WYSZYŃSKI O »ZDRAJCY« ANDERSIE

Warszawska komunistyczna „Trybuna Ludu” ogłosiła w całej głośności prze-mówienie sowieckiego ministra spraw za-granicznych Wyszyńskiego, wygłoszone w komisji politycznej O. N. Z. w czasie dyskusji nad sprawą stosunku Stanów Zjednoczonych do krajów za żelazną kur-tyną i uchodźców politycznych. Okazu-je się z ogłoszonego tekstu, że Wyszyń-ski cały ustęp swej mowy poświęcił gen. Andersowi i Polakom, używając przy tej sposobności najbardziej ucztych wy-rzazów, świadczących jak dalece ta sprawa niepokoi i irytuje kierownictwo so-wieckiego na Kremlu. „Trybuna Ludu” ogłosiła ten ustęp mowy Wyszyńskiego p. t. „Bataliony zdrajców na wzór „le-gionu” Andersa”. Oto kilka urywków z tej mowy, które przytoczamy z obow-iązku dziennikarskiego:

„Zwrócić się z kole do takiego doku-mentu, jak protokół komisji spraw za-granicznych Izby Reprezentantów 25 lip-ca, który odzwierciedla rozmowę z kolegą pana Mansfielda, kongresmanem Vau-rysem. Nie wiem czy jest on tutaj obecny, lecz wiem, że wchodzi w skład delegacji amerykańskiej. Otóż ten Vaurys rów-nież członek delegacji amerykańskiej, również kongresman, również członek Iz-by Reprezentantów — przeprowadził roz-mowę z innym kongresmanem, Kersten-em, autorem poprawki o 100 milionach dolarów (na pomoc dla organizacji żelaznej kurtyny — red.).

W rozmowie tej mówił on m. in. o utworzeniu formacji wojskowych liczą-cych około 25 tysięcy ludzi w celu włą-czenia ich do armii amerykańskiej, aby, jak się wyraził, Polacy, Węgrzy i inni wchodzili w skład tych formacji wojsko-wych, które mają wziąć udział w t. zw.

„obronnej” wojnie agresywnego bloku atlantyckiego przeciwko Polsce, Węgrom i t. d.

W rozmowie tej powoływano się jaw-nie na gen. Andersa i na polski legion tegoż Andersa oraz wspomniano o ko-nieczności utworzenia czegoś w rodzaju takiego legionu.

Na posiedzeniu komisji — cytując pro-tokół z 25 lipca — Kersten oświadczył: „Sądę, że byłoby bardzo skuteczne... aby ludzie ci wchodzili w skład forma-cji, które zostałyby uznane jako ich włas-ne formacje...”. W tym miejscu prze-rwał mu Vaurys, rzucając uwagę: „Czy ma pan np. na myśli również legion pol-ski?”

Kersten odpowiedział: „Legion polski i jemu podobne. Wydaje mi się, że po-winniśmy przewidywać wszelkiego ro-dzaju trudności prawne i rzeczywiste pomóc w tworzeniu takich formacji w celu włączenia ich w skład NATO” (pakt atlantycki).

Wydawnictwo „Congressional Re-cords” z dnia 18 sierpnia br. przytacza oświadczenie p. Kerstena, który szcze-gółowo mówi o planach formowania najem-nej armii zdrajców dla przygotowania kampanii przeciwko ZSRR i krajom de-mokracji ludowej.

Kersten wspominał o garstkach dezert-erów i zbrodniarzy wojennych, wychwa-lając ich jako „potencjał wolności”. Przytoczył on przykład armii zdrajców Andersa. Opowiadał on w tej komisji o swej rozmowie z jakimś wysokim ofi-cerem, który wyjaśnił mu jakie znaczenie mieć będzie wykorzystanie batalionów zbrodniarzy wojennych i zdrajców z kraj-ów Europy wschodniej w wypadku kon-fliktu ze Związkiem Radzieckim”.

ZDZISŁAW STAHL

Gdzieś u południowych stoków Ura-lu, na zachód od biegu rzeki Ural i li-nii, rozgraniczającej na mapach Azję od Europy, na północnym skraju tej szerokiej, nizinnej bramy przechod-niej pomiędzy obu kontynentami, roz-ciągającej się od gór uralskich do mo-rza Kaspijskiego, na drodze z Czako-wa-Orenburga do Kachybzewa-Samary i nad rzeczką, o zachowanej z czasów przedrewolucyjnych nazwie Samara, leży miasto Buzuluk, które przed dzie-sięcią z górą laty, czyli na jesieni r. 1941 było Mekką polskich jeńców, więźniów i zesłańców w Sowietach. Mekką owych kilkunastu setek tysię-cy Polaków, rozmieszczonych, podczas minionych dwóch lat okupacji, naszymi ziem wschodnich hojną i pracowitą ręką sowieckiego NKWD po łagrach, wiewiach i posiołkach, jak szeroko sięgala wówczas sowiecka władza, od Wologdy po cieśninę Berynga i od gór Ałtajskich po ujście Pieczory.

Niektórych po ułożeniu wcześniej i bezpośrednio po wkładzie i tzw. amnestii z 15 sierpnia, kierując zwolnio-nych wprost do miejsc postoju, two-rzącej się armii polskiej, innych wy-puszczono później i jeszcze później, kolejno i partiami, zwlekając i na coś czekając, jakby lokalne władze NKWD nie były zdolne pojąć i uwierzyć, że Związek Sowiecki naprawdę przywraca wolność polskim „faszystowskim” „panom”, raz dostawczy ich w swoje ręce. Miejscowe kacyki sowieckie, wciągać widać liczliły, że przyjdzie osta-tecznie jakieś odwołanie tych niewia-rodnych, amnestowanych zarządzeń i wypuszczonych znacznie się aresztowa-ć z powrotem, a więc może szkoda ich przedwcześnie zwalniać. Wielu też nie wypuszczono wcale.

Osobiście zostałem zwolniony 5 września, czyli stosunkowo wcześniej, ale znajdowałem się bardzo daleko i nie skierowano mnie bezpośrednio do wojska. Amnestia ogłoszona została wtedy, gdy więźniary nasz transport docierał do portu załadowanego Buch-ta Nachodka nad Pacyfikiem o dwięś-

B U Z U

ście kilometrów na wschód od Władywo-stoku. Zamiast przylądzić do transportu kołymskiego, nas Polaków wy-dzieliłono na osobną „zonę” i następnie partiami po kolbą „niezjęciu” następnie zwalniać. Naszej grupie dano do wy-boru, jako miejsce skierowania, Omsk, Tomsk, albo Barnaul. Wybrałmsy przeważnie Omsk, jako najdalej na zachód wysunięty i zapewne najbliższy prawdopodobnemu miejscu koncentrac-ji naszego, tworzącego się wojska, które — jak rozumowaliśmy — nie mogło być położone z byt daleko na wschód. — Spodziewaliśmy się też, że w tym dużym mieście będzie już jakaś rekrutacyjna placówka polska, która udzielił informacji i weźmie w opiekę.

Spółkał nas, niestety, zawód i żąd-nej placówki jeszcze nie było, a so-wieckie władze odmówiły nam wiado-mości, gdzie tworzy się armia, każąc nam natomiast naprzód „ustroić się na robotę” i wskazywały w tym celu „pobli-skie” miasteczko powiatowe Znamien-ke, do którego miał nas zabrać tego sa-mego wieczora statek, idący rzeką Ir-tyz na północ. Jak okazało się do Zna-mienki trzeba było łukiem rzeki plynąć „zaledwie” czterysta kilometrów od Omska. Tam, choć formalnie zwol-nieni, ale nie całkiem musieli, i pod czuj-nym okiem NKWD musieliśmy jeszcze do początku listopada rąbać drzewo w syberyjskim lesie, zanim pozwolono nam, znów kolejno i z przeszkodami po udzieleniu wreszcie upragnionej więcej o miejscu koncentracji odbywać ostatni etap drogi do polskiego wojska. Do owego „Buzulukka czkatowskiej ob-lasty”, o którego geograficznym po-łożeniu trudno było od miejscowej lud-ności syberyjskiej początkowo czegoś bliższego się dowiedzieć, bo wielu nie słyszało nawet jeszcze o przewzaniu

starego Orenburga nazwiskiem so-wieckiego lotnika Czakałowa.

Niemniej zaliczeni zostaliśmy ku naszemu nieopisanemu szczęściu, do tego — jak okazało się później — skromnego osetka półtora milionowej masy polskich zesłańców, którym obja-wione bezcenna tajemnicę polskiej wyspy, wśród niezmiernych przes-trzeń sowieckiego imperium i któ-rym zezwolono do tej ziemi, nawet nie obiecanej, lecz cudem rozwoju wypad-ków wojennych powołania do życia, wewnątrz granic panowania Moskwy, dotrzeć. Dotarliśmy, jak inni, ostat-kiem siły i zdrowia, w łachmanach, bez butów, wygłodzeni i z głodu chory, ale przywróceniu do życia, jako po-wracający z innego świata, na nowo: ludzie.

Buzuluk to rozległe, szare i obdrpa-ne miasteczko, zabudowane prze-ważnie parterowymi domkami, przed-tym podobno tonące w błocie, w pierw-szych dniach grudnia stało już w mro-zie i pod śniegiem. Dowództwo armii polskiej w ZSSR, które podczas jesień-nych miesięcy 1941 i w początkach 1942, przed wyjazdem pod Taszkent do Jangi-Julu, miało tam swoje miej-sce postoju, mieściło się w dużym, chę-ba najparadniejszym, trzypiętrowym, narożnym budynku, pamiętającym czasy przedrewolucyjne.

Tam, wewnątrz domu, strzeżony przez polskich żołnierzy, w obszernej hallu klatki schodowej, po szerokiej korytarzach, w dużej sali pierwszego piętra, po rozległych, ale zbyt ciasnych na swoje przeznaczenie pokojach białych, tętniło już od kilku miesięcy bujne, swojskie, zamknięte w sobie, swojej polskości życie, życie ludzi, powróconych do wolności cudem, je-żce nie dawno nędzarzy i niewolników

# N

„WIERNOŚĆ ŻYCIU“

ziny, zanim doczekała się marnego łowa współczucia. Marnego i niewłaściwego, bo o nieszczeniach, które padały na inne kobiety. Ta i tamta traciła dzieci, starą matkę, męża.

Franiowa czując tylko swój ogromny, twardy ból, który nie rozpuszczał się w łzach, przymierzała do niego cudożone bóle. Mniejsze, nie takie jak jej. Czymże jest strata drobnych dzieci, starej, bliskiej grobu matki, nawet męża, z którym żyło się dobrze albo źle — czym to jest wobec śmierci Jurka? Był rosyjski, piękny, mądry, dobry, sposobny do życia, jak nikt, jak żaden. — Mężczyzna! — zachłusnęła się uwielbieniem i na moment przybliżyła się do zdumienia, bo nigdy dotąd nie myślała o synu jako o mężczyźnie. Jakiś inny ból nią zatargał, ale nie, nie! Dobrze mu było przecież z mat-

ką, nie porzuciłby jej dla drugiej kobiety.

Nie pozbyć się jednak zwątpienia i obaw, gdy raz zakradły się do serca. Coś obcego, coś fałszywego przywodziło się Franiowej w twarz i w postępowaniu Jurka. Nawet to, że dla Marii był dobry i że wtedy skrzynkę zanościł, chociaż nie musiał, nie miał obowiązku. Powiedziała niemal z wymówką: — Czy pamięta pani, jak wprost z podłogi dźwignął tę skrzynkę, w której nie wiadomo co pani nakładła? — Maria odezwała się łagodnie: — Nie trzeba pamiętać o skrzynce.

Franiowa aż zatrzęsło. O wszystkim, wszystkim co dotyczy Jurka, chciała pamiętać! Zaczęła wołać syna głosem tak donośnym, że nadzirał z trzaskiem otworzył drzwi. Stojąc na progu — rosyjski, przystojny, bodajże uśmiechnięty — pomykał skośnymi oczami. Co, co się dzieje? Pobity się kobiety o miejsce, o chleb, czy o chłopca?

Roma zerwała się i doskoczyła do „Kalmuka“: — Nie wiesz, niby nie nie wiesz? Zabiliście jej syna! — Zdawało się, że lekko paćnął ręką, ale jak pazurami wcepił się w plecy. W oka mgnieniu nie było już w celi ani Kalmuka, ani Romy.

Kiedy to się stało. Franiowa pobierała swoje rzeczy, z powrotem przeniosła się na dół. — Za Jurkiem się ujęła, za Jurkiem — powtarzała, oganiając się rękami, chociaż nikt jej nie zatrzymywał.

Nagle postanowienie Franiowej i powrót Romy po parudniowym pobycie w karcerze, nie zrobiły takiego wrażenia jakby należało. Trudno było zajmować się każdą z osobna, gdy zamiast kilkunastu kobiet znajdowało się w celi trzydzieści albo i więcej. Karolina, zaniechawszy obowiązków „pani domu“, nie witała przychodzących i nie żegnała odchodzących. Nie nadążałyby, ale i tak nikt tego ani nie wymagał ani nie potrzebował. Siłą, mocą wypchane — stare, młode, młodzieńskie; Polki Ukrainki, Żydówki, emigrantki rosyjskie, Zakarpatki, Cyganki; chłopki, kupcowe, nauczycielki, obywatelki wiejskie, uczennice, studentki, krawcowe, modniarki, sprzedawczynie, robotnice, straganiarki — miały jakby tę samą zwiolokrotnioną twarz i głosy pomnożone w jeden bezustanny, ogłuszający wrzask.

Nawet krótkie momenty ciszy szumiały jak bór lub morze. Bulgot, skrzeczenie kłócących się, szlochanie pokrzywdzonych rozsadały ceję, jak wybuchy dynamitu. Ale smród potu.

odchodów, machorki z powrotem wiazał siany zgęstniałym, lepkiem fetorem. Kobiety skłębione i splątane z sobą, borykały się z długimi zimowymi nocami. W dzień, chowając pod siebie nogi i przyciskając ramiona, przypominały kadłuby kalek na odpustach. — Najazd, najazd! — stękała Karolina zepchnięta ze swojego miejsca.

Na dole Roma, jak nastroszoną koczosię ostaniając Ukrainki, odpędzała Franiową: — Po co tu przyszła? Niech wraca do swoich! — Franiowa jeszcze mocniej się wcisnęła — tu, tu jest przynależna, nie tam! Rankiem, wyrzucając się spod ciężaru ciała, pierwszemu odezwaniem się zaznaczała, że tu, tu zostanie! Złowiwszy słuchem imię syna, wymówione przez którąś z obcych Ukrainek, powiadała: — To mój syn! — Ale już i Martynka do niej opryskliwie: — To i co z tego, że wasz syn?

I oto od razu, jednym zamachem zabrano któregoś dnia wszystkie „wędrownie“. Odchodząc, napelnili ceję budzącym grozę pomrukiem: — Na transport, na transport! — Pozostawiali nie poraził jednak strach wobec poczucia ulgi, ulgi! Strątowane sieniaki dymili i śmierdziały, więc Eugenia Lasukowa sprzed ust i nosa chorej Danusi odganiała kurz, niby roje komarów. Po tym, co z sobą zrobiła Janka, Eugenia strzegła Danusi, jak oka w głowie. Danusi i tych innych młodych, niewytrzymanych na zło, bo nienasyconych jeszcze dobrem życia.

O żadnej nie zapominając, wpatrywała się w kąt za piecem. Roma, Zenka i Martynka zasłaniały jednak Irynę, jak żywoptem. Może i tak było, że przytłaczały ją sobą, gdy ją to nazięło, że krzyczała i rzucała się. Może usta jej zatykały, żeby cicho, cicho. Eugenia wspominała, jak w niedalekim sąsiedztwie rodzice zamknęli swoją niewydarzoną córkę do ciemnej komórki. Głodem ją morzyli, sznurami krepowali. Wydało się i sąd surowo ukarał rodziców za znęcanie się nad Bogu ducha winną.

I tutaj działo się coś w zatajeniu, czemu należało co rychlej zapobiedz. I tutaj Bogu ducha winną dziewczynina, Eugenia przysiadła się najpierw do Jadwigi, która na dole miała swój „warstat“ ukryty przed okiem nadzira. Zrezygnowała, nie ma co mówić, zrezygnowała, głodziła, formowała ją chude paluszki. Jadwiga obdarowała Eugenię krzyżykiem i czy nie śliczny, czy nie święty? Suchy, jak kamień — zapewniała — z dobrze zmacerowanej masy chlebnej. Pan Jezus nie miał wprawdzie ani oczu ani ust na tej kuleczce udającej twarz, ale korona cierniowa otaczała głowę, ciało było rozpięte.

Wieczorem w tejże sali odbył się bankiet, wraz z osobistościami sowieckimi, które towarzyszyły z Moskwy polskiemu premierowi. Działo się to w krótkim okresie miodowego miesiąca przyjaźni dla nas, odgrywanej przez Sowiety, w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa i półkoła wojsk niemieckich, atakujących Moskwę. Wśród wielu toastów, przemawiał w imieniu rządu ZSSR, Wyszyński, wtedy zastępca komisarza spraw zagranicznych. Szczególnie przykre było słuchać krzykliwych i demagogicznych, ale zimnych zwrotów tego sowieckiego komisarza, którego wroga, bolszewicka dusza przebija tym bardziej rażąco, że z polskiej sylwetki i kalając polskie nazwisko. Przyjazna mowa tego słynnego prokuratora krwawych moskiewskich procesów szczególnie fałszywym echem odbijała się w tym gmachu sztabu polskiej armii, po którym już snuły się niepokojące cienie zaginionych i nadaremnie poszukiwanych jeńców, osłoniętego jeszcze tajemnicą, ale przeczuwanego Katynia.

Okłaski słuchaczy były tylko oficjalnym obowiązkiem. Żaden frazes nie mógł przełamać niezachwianej naszej pewności i wiedzy o systemie sowieckim, zbyt drogo zapłaćiliśmy za poznanie tej ponurej i groźnej prawdy. Wiedzieliśmy, że każde zapewnienie jest kłamstwem, a każde słowo przyjaźni — zdradą. Pod powierzchnią odpowiadania bowiem i powrotu do codzienności, pod zewnętrznym nurtem życia, w każdym polskim środowisku, powstałym na obszarach ZSSR, ukstałowana już była, tkwiąca najgłębiej w naszej świadomości, ta prawda o groźbie sowieckiej tyranii, która — wyniesiona następnie przez nas z granic Rosji — miała się światu cywilizowanemu i Polsce, mimo wszystkich dotychczasowych rozczarowań, dobrze przysłużyć.

Zadanie to nie jest jeszcze do końca wypełnione.

Z krzyżykiem w ręce przesuwiała się Eugenia ku Ukrainkom, nito apostoł wkraczający do pogańskiego kraju. Tak właśnie zażartowała Roma, uśmiechnięta tym razem i jakby rada z odwiedzin Eugenie. Mogła zatem i Martynka zawołać gościnnie: — Prosimy, prosimy! — Szczerze czy nieszczerze witały, Eugenia powoli, zakosem zmierzając do celi. Zerkając na Irynę, bąknęła, że mizerna, bledziutka. Niezdrowo dla niej w tym kącie, na przód ją wysunąć, aby chociaż w jaśniejszym miejscu, chociaż tyle powietrza, co dla innych. Roma, ciągle tak samo uprzejmie, że już sama o tym myślała, ale zagęściło się odkad przybyła Franiowa.

— Aha! — pojęła w lot Eugenia, gdy Franiowa z urazą — czy nie ofiarowała się z zamianą miejsca? Bez różnicy, gdzie ją posadzą, nie przebierna w tym względzie. Eugenia przysiedziła tu dla młodzieńkiej Iryny, pożalowała teraz starawej Franiowej. Nie inaczej z dziećmi wyganiają matkę albo ojca.

Nie zaliczając się ani do starych ani do młodych, Eugenia stanęła pośredku pełna rozterki. Należało dobrze rozważyć, nie śpiesząc się. Przecież z początku Romą wabiła do siebie Franiową, cackała się z nią, a teraz chciałyby ją stąd wysunąć. Nie wielką rzecz odgadnąć przyczynę tej zmiany. Wystarczy posłuchać skamlenia Franiowej — że co tylko powiedziała nieprzytomna z żalu po Jurku, odwołała, odszczekała. Mogą ją zamęczyć, zabić, nie jej już po życiu.

I wtedy zakwiliła Iryna, jak ptak duszony przez kota. Eugenia oddepnęła Romę, Zenkę i Martynkę: — Żadna sztuka trzy na jedną! Miła moja, powiedz, boli cię co? Nie trzęś się, nie bój się mnie! — Sama jednak zlekka się wyteżonego wzroku Iryny. Nawzajem bały się siebie. — To jej przędzie, to zaraz przejdzie, dygotała Roma. Doprawdy nie wiadomo było kogo wpięć utulić. Eugenia przygarnęła Romę: I ty biedna i ty młodzieńca. Rady sobie nie dasz ze swoimi. Ni swojego ni ich strachu nie przemożesz. Siedzi w nas wszystkich strach, jak zły duch. Trzepie nami, krzyczy w nas, rozum odbiera.

Od tego dnia Eugenia bodaj na krótko schodziła do Ukrainek. Iryną wydobyla zza pieca, piękna uczesana i umyta, pomagała Jadwidze, która chwaliła: — Nikt tak dokładnie nie potrafi zżuć chleba jak Irenka. — To też Eugenia z przekonaniem: zając czym bądź człowieka i zaraz pojedzie gładko jak wagon na szynach. — Mówię tak, bo męża miałam kolejarza. Ba — na gładkich szynach wykołę się pociąg i owdowiłam. Zresztą, może co innego było z tym pociągiem, bo skazała za to ukraińską bandę. — Uderzyła się po ustach, że niepotrzebnie o tym przed Ukrainkami.

Franiowa odezwała się ze swojego kąta za piecem, że dobrze pamięta o tym wypadku. Jurko zakazał jej wprawdzie powtarzać plotki z maglu, ale kiedy sprawa poszła przed sąd, nie zaprzeczał, że był napad. Był, ale nie bandyci, nie dla rabunku. Wojenny — mówił — bo Ukraińcy biją się z Polakami jak na wojnie. Roma, omijając wzrokiem Franiową, powiedziała: — Jurko do tego nie należał. — Franiowa na to porywczo: — Jeszcze by tego brakowało, żeby mój syn zaszczepił ludzi zabijał!

Eugenia tylko na moment wspominała to nieszczęście. Te tutaj warczą na siebie, gdy ona w tej niby wojnie meża straciła. Tutaj Martynka pyskała do Franiowej: — Nie dla waszych uszu, co z sobą mówimy! — a wtedy lament Eugenie słychać było na całej ulicy. Każdą rzecz można o-

bejrzeć z rozmaitych stron i co dla jednego zła, dla drugiego akurat najlepsze. Patrząc na Romę, na białej jej oczu, przychylnie oceniali jej urzęd. Od tamtej chwili, gdy tułita do siebie Romę, gdy gaskała ją po twarzy jak małą dziewczynkę, polubiły się. Nieraz Roma napraszała się: — Pokochać, pokochać mnie, pani Geniusiu.

Nie żywiąc tak tkliwych uczuć dla Franiowej, Eugenia i na nią spojrzęła życzliwie. Nie spotkała się jednak z jej wzrokiem, bo Franiowa grubą chustką okryła głowę, aby nikomu nie zdawało się, że podsłuchuje. Aż przykro było patrzeć na tę okutaną kukłę, która prosząc wyciągała przed siebie ręce, żeby jej nie odganiano, żeby tu, tu przez pamięć na Jurka. Były to ręce wymoczone w mydlinach, sodzie i chlorku, gąbczaste po wierzeniu, a na dłoniach zrogowaciałe od naciskania żelazka. Martynka, jakby w pobratymstwie z tymi spracowanymi rękami, przemówiła miękko: — Na łóżkach byłoby dla was wygodniej.

Odrzucając, odpędzając, Franiowa któregoś dnia pobierała swoje rzeczy, włożyła płaszcz, owinięła się w chustkę. Niedaleko odeszła, bo najpierw jakiś czas postąpiła koło pieca, potem, gdy ją nogi zholowały, usiadła na paraszy. Musiała jednak ciągle wstawać, bo coraz koraś podchodziła z potrzebą. Kiedy parasza wypełniła się po brzeży i nieczystości sączyły się spod pokryw, Franiowa przeniosła się pod drzwi. Lecząc stąd spędzono ją podczas wydawania posiłku. Jedząc zupę, przykucnęła na brzegu łóżka. I tu już została aż do układania się kobiet do snu.

Kiedys zdarzyło się, że jej mąż Franio, upiwszy się swoim zwyczajem, nie chciał jej wpuścić do mieszkania gdy wróciła z pracy. Przesiedziała wtedy całą noc za drzwiami i lzy zerały ją, wymulały. Teraz, chociaż oczy były suche, czuła to samo wyjąłowanie. Kobiety leżały już, każda na swoim lepszemu czy gorszym miejscu. Jadwiga, owijając się w swój bajowy koc, stopą potrąciła Franiową — dlaczego się nie kładzie? Tyle tylko, bo zaraz zaczęła odmawiać pacierze i nie dokończywszy ich, zasnęła.

Franiowa nie obejrzała się za siebie, żeby nie widzieć, jak inne śpią, jak innym dobrze jest spać. Nie patrzyła też przed siebie na sienniki, gdzie pod rozmaitymi przykrywkami garbiły się ciała w większej dzisiaj wygodzie, bo łuz im zrobiła swoim odejściem. Głowa przegięła się wstecz, zakolysała i opadła na piersi. W uszach हुआło jednostajnie i głuźco. Zanurzając się w parność snu, Franiowa gwałtownie się przebudziła na skutek kaszlu, rozzdzierającego tchawicę jak kolącą ość. Aby go ściszyć, nasunęła chustkę na twarz. Przeszła się, gdy jakieś ręce rozgarnęły chustkę w dwie strony niby portiere, gdy ręce to pomacały po twarzy i cichy głos szepnął: — Koło mnie jest miejsce.

Choć przed tym tak bardzo lękana snu, teraz nie tylko oczy miała otwarte, ale i myślom dawała upust. Zatrzymała ją przy sobie Łuzińska, czy przepędzi? Leżąc, jak kiedyś w łóżku Franiowej, jeszcze ciałnie tutaj przywierały do siebie. Napieranie chudego biodra Marii dolegało swoim natręctwem, więc Franiowa broniła się w duchu: — Jak mi to powiedzieli o Jurku, byłam bez woli, bez przytomności. — Czy to wystarczy Łuzińskiej? Czy nie wystarczy tak samo, jak Romie?

Nie dbając już, czy Maria śpi, czy inne śpi, głośno zapłakała: — Czego chcecie ode mnie? Jurka mi zabili przez was, za was!



Z. TURKIEWICZ.

# ŁUK

a dzisiaj już odrodzonych w swojej niespożytej żywotności, w swoich wadach i zaletach, cnotach i słabościach, rękęch jakby odrobić czas stracony i zapomnieć o dwu latach mąk i upokorzeń, załamania czy bohaterstwa, odpocząć w sprawach małostkowych i drobnych, zejdź z wyżyn prawdziwej wielkości przeżyć i odnaleźć się na poziomie zwykłych spraw ludzkich, osobistych i prywatnych, a we własnej spoczności narodowej.

Ale codziennie witała do tych polskich drzwi niedawna, a zewsząd otaczająca, tuż za drzwiami, obecna rzeczywistość i nie pozwalała zapomnieć o dniu wczorajszym, o prawdzie tego kraju, w którym dziwne zrzęczenie Opatrzności kazało powstać zagrodom polskości. Codziennie przybywali coraz nowi nędzarze z tamtego świata, skąd wszyscy przybyli mniej lub bardziej dawno i serdecznie przywitani, alegali naprzód przemianie zewnętrznej, zrzucając lachmany, a wdziewając mundur polskiego żołnierza i następnie wracając całą duszą w pulsującą bujnym życiem, gotową już społeczność. W te parafie polskości, wśród świata bezbożniczej, ponurej tyranii i będy, w parafie gdzie biegiem już normalne życie religijne i kulturalne polskiego środowiska z jego typową zdolnością do błyskawicznej improwizacji, gdzie odprawiali się już nabożeństwa, często w klatce schodowej, na kaplicę domysłowo zamienionej, gdzie wygłazano już odczyty w wielkiej sali i grał w niej własny teatr, a w jakimś kącie przytarza składały się już pierwsze strony „Orla Białego“, albo gdzie inżynier znow w zacisznych zakamarkach chronił się sztalugi, powróconych złuce, malarzy i rysowników.

Początek grudnia to były wielkie dni Buzuluka. Po rozmowach na Kremlu miał tam przybyć Naczelny Wódz i Premier gen. Władysław Sikorski. Bylem świeżym przybyłem w przeddzień tej doniosłej wizyty. Uczestniczyłem w oficerskiej odprawie, podczas której zobaczyłem po raz pierwszy twórcę armii gen. Władysława Andersa. Błady jeszcze i wychudły, po swoich więziennych przeżyciach, o lasce z powodu rany z kampanii wrześniowej, mówił niewiele. Zapowiadając na dzień następny przybycie Naczelnego Wodza, wyraził krótko przekonanie, że zgotujemy mu serdeczne, należyte przyjęcie na jakie zasługuje.

General Sikorski wszedł następnego rana do natłoczonej, wielkiej sali przyjęć. Powiew dalekich, wielkich spraw polityki międzynarodowej, od której przez dwa lata byliśmy odcięci, technicznie Zachodu, ku któremu kierowały się nadzieje, dumą z własnego tak odległego Rządu, z którego przez dwa lata tak bezlitośnie drwili nasi dzisiejsi, sowieccy sprzymierzeńcy i uprzejmi gospodarze, wszystko to wkraczało wówczas w jego osobie do tej obszernej sali. Zapewniająco wczorajszymi niewolnikami dzisiejszych sojuszników. Na twarzy Generala malowało się zmęczenie i kiedy przemówił zdawało się, że musi przełamywać jakieś wewnętrzne opory, jakby liczył się z niechęcią, podczas gdy w rzeczywistości zastał serca otwarte; jakby przywoził w myśli z dalekiego Londynu obraz politycznych sporów i przeciwności, które jednakowoż w sercach jego buzułuckich słuchaczy, wypalonych przez doznania minionych dwu lat, były obumarłe i raczej sam je mimowiednie, wskrzeszał.

## Barbarzyńska cenzura książek w Polsce

Od roku już cały handel książkami w Polsce został skupiony w wielkim państwowym przedsiębiorstwie, które nosi nazwę „Dom Książki“. Instytucja ta posiada monopol na sprzedaż książki, i tak jak pisma rozprowadzać można tylko przez analogiczną instytucję monopolistyczną „Ruch“, tak książkę w komunistycznej Polsce można obecnie rozprowadzać jedynie przez „Dom Książki“.

Ten komunistyczny „Dom Książki“ powstał przed rokiem. Mniej więcej w tym czasie zaczęły mnożyć się fakty znikania całych nakładów książek z rynku księgarskiego. Książka została przedłożona cenzurze. Przeszła wszystkie jej ognia. Została wreszcie zakwalifikowana do druku, poszła do drukarni. Po pewnym czasie druk został ukończony, a cały nakład był odsyłany do „Domu Książki“ w celu rozprowadzenia książki po całym kra-

ju. I w tym momencie książka, nieraz w nakładzie trzydziestu lub pięćdziesięciu tysięcy, ginęła. Żadne zabiegi nie mogły pomóc w jej odszukaniu, po prostu zapadła się pod ziemię.

Tajemnica tych zaginięć obecnie powoli wychodzi na jaw. Okazuje się, że „Dom Książki“ jest nie tylko instytucją kolportażową i dystrybucyjną, jest jeszcze ponadto ostatnim siem cenzury komunistycznej. W zarządzie tego przedsiębiorstwa siedzą delegaci Politbiura z wydziału wydawnictw. Przed pusezeniem książki w obieg polityki raz jeszcze czytają książkę i często w ostatniej chwili decydują, że nakład należy zniszczyć. Zdarza się ponadto, iż instrukcje komunistyczne dla pisarzy (w ustroju komunistycznym pisarz jest posłusznym robotem) zmieniły się od chwili oddania książki do druku.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

# TOKIJSKI EPIZOD

W cztery dni po ataku japońskim na Pearl Harbour ukazał się dekret Prezydenta Rzeczypospolitej, stwierdzający, że Polska — „począwszy od dnia 11 grudnia r. 1941 znajduje się w stanie wojny z imperium japońskim”. Był to akt nie tylko solidarności międzysojuszniczej. Łączyły się z nim bowiem nadzieje ożywienia akcji wimbunkowej w Ameryce na rzecz wojska polskiego w W. Brytanii. Nadzieje te ziściły się — jak wiadomo — w niewielkim tylko ułamku, a i do polsko-japońskiego skrzyżowania broni nie doszło ani na lądzie, ani w powietrzu, ani na morzu. W dziesięć lat po tym symbolicznym akcie — we wrześniu r. 1951 — wobec podpisania w San Francisco przez 49 państw traktatu pokojowego z Japonią — rząd polski przez deklarację min. Sokółow-

skiego uznał, że i pomieć Polską a Japonią stan wojny istnieć przestaje. A wobec tak niedawnego zamknięcia tego bezkrwawego konfliktu warto może przypomnieć o pierwszym w dziejach politycznym kontakcie polsko-japońskim.

Nie jest on zbyt daleki w czasie — dzieli go od nas niecałe pół wieku. Wzrost on bowiem w r. 1904 — na tle wojny rosyjsko-japońskiej. Warto o nim przypomnieć także i dlatego, że zazwyczaj zamyka się go u nas w ramach zbyt wąskich, wiąże się go bowiem tylko z Polską Partią Socjalistyczną i jej ówczesnym kierownikiem — Józefem Piłsudskim. W rzeczywistości objął on trzy ówczesne kierunki polskiego myślenia i działania politycznego — myślenia P. P. S., ale także Stronnictwo Narodowe i obóz t. zw. ugodowców. Trzeba tu już podkreślić, że ówczesna geografia polityczna Polski nie była zbyt bogata; wiele z tych stronnictw, jakie znamy z okresu 20-lecia niepodległości, nie istniało jeszcze; Stronnictwo Ludowe np. miało się dopiero urodzić w wyniku rewolucji r. 1905. Inne były zarysowującym się dopiero prądem uczuciowo-myślowym raczej, niż ugrupowaniem — garstką inteligencji bez żadnego jeszcze oparcia w „terenie”. Tylko trzy więc wymienione wyżej stronnictwa uchodziły wtedy mogły za realną siłę polityczną w Kraju. Dzielili się — rzecz jasna — głębokie różnice w programach, dążeniach i taktyce; różnymi też drogami dochodziły do kontaktu z Japonczykami i różne w tym kontakcie widziały dla siebie cele.

Tem — jak przypominałem już — była wojna rosyjsko-japońska, lekko-myślnie sprowokowana przez kamarylę dworską w Petersburgu. Rachuby tej kamaryli odniesienia łatwego i szybkiego zwycięstwa rozbiły się o twardą rzeczywistość. Po łańcuchu klęsk na lądzie — pod Wafangzou, Laojanem i Mukdenem — pod większych jeszcze katastrofach na morzu — pod Portem Artura, Władywostokiem i Cuszymą zwrócił się do „wysłatki Rosji” — „uczynić za pokonaną i — przy zyczeniu pośrednictwa Ameryki — podpisać w Portsmouth warunki pokoju, przyznając w nich Japonii całkowitą swobodę działania w spornej dotąd Korei oraz oddając jej wraz z połową Sachalinu południową część półwyspu Liaodung z Portem Artura i Dalnim. Do tak niesławnej kapitulacji zmuszała Rosję i jej sytuacja wewnętrzna. Klęskom bowiem na dalekim froncie wojennym towarzyszył stały wzrost wrota rewolucyjnego w całym państwie. Nie była to fala na tyle silna, by zdolała podstawić caratu — nie zdolała nawet zachwiać nami groźniej, zmusiła go jednak — osłabionego w wojnie — do przyjęciowych, bo w dużej mierze cofniętych niebawem ustępstw w warunkach życia wewnętrznych.

W chwili wybuchu wojny nikt oczywiście tak daleko idących konsekwencji przewidzieć nie mógł. W Polsce jednostki tylko rozumiały przelomowe znaczenie momentu — jednostki tylko wyczuły, że wraz z pierwszymi strzałami pękła zaczął utrwalony od wielu dziesiątków lat niemiłosiernie potęgą Rosji, że śmiała decyzja „matulkiej Japonii” rozbiła krąg długotrwałej nietety legendy, co „zabobonnej bojaźni” nawet nie przed uderzeniem, ale choćby tylko przed zmarszczeniem brwi północnego olbrzyma; przebieg wojny dopiero wykaże miał, że jest to „kołos na glinianych nogach”. Zanim jednak ogłosiło się to w pełni dla wszystkich — narzucała się prawda inna — ogólna — że wojna jest wydarzeniem zbyt wielkiej miary, by minąć mogła bez głębszych śladów w życiu państwa — osłabia ją, czyni skłonniejszym do ustępstw. Stąd od pierwszych dni konfliktu, a zwłaszcza na wiadomości o pierwszych klęskach rosyjskich — różne w trzech głównych ośrodkach polskich odezwały się nadzieje, z nich zaś różne wyrastały decyzje i kierunki działania.

Ugodowcy — silni nie liczbą zorganizowaną, ale raczej ogólnym nastrojem kraju oraz ciężarem i powagą nazwisk, reprezentujących arystokrację, ziemiaństwo, przemysł i bogate mieszczaństwo — jeśli nie całością, to z olbrzymim odłamek — wszelką nadzieję rozerwania pęt niewoli uważali nadal za szkodliwe marzenia i w konsekwencji nie schodzili z utożsamienia drogi lojalności, uległości i pokory. Zamanifestowali też swoje stanowisko nie tylko w czolobitnej pielgrzymce na Zamek do gen.-gubernatora Czertko-

wa. Jednocześnie przystąpili do formowania dla wojska rosyjskiego nawet polskiego, tylko „rzymsko-katolickiego”, szarytkami i lekarzami — wyznania rzymsko-katolickiego”. Arcybiskup Popiel, patronujący tej imprezie, poleciał księżom popierać ją z ambon. Tych pierwszych przejawów lojalności nie łączono jeszcze z żadnymi obietnicami. Dopiero po kilku miesiącach — pod wpływem wydarzeń wojennych i w ślad za postępową inteligencją rosyjską, która na licznych „zjazdach” i „bankietach” domagała się od rządu „zmian w ustroju wewnętrznym Rosji — zaczynają i ugodowcy polscy wysyłać listy i memorialy do ministrów rosyjskich w Petersburgu.

Jeden z nich, napisany niestety przez H. Sienkiewicza, przedstawiał „uproszenie kraju, wydane na łup biurokracji”, drugi — wspominając lekliwie o konstytucji z czasów cara Aleksandra I — prosił skromnie o prawa językowe oraz samorząd miejski i wiejski; trzeci wreszcie — podpisany przez 23 „przedstawicieli arystokracji i przemysłu”, zawierał również skromne postulaty — tolerancji religijnej i równouprawnienia z Rosjanami, prosząc o wdrożenie na drogę, która pozwoliłaby „zblżyć i wewnętrznie związać kraj polski z państwem rosyjskim”. Nie ograniczono się tu jednak do wyczekujących ukłonów w stronę Petersburga. Z uczuciem rosnącego niepokojem wstuchując się w odgłosy zbliżającej się burzy od wschodu, z trwogą patrząc na stały i szybki wzrost rewolucyjnych nastrojów w Polsce, w obawie przed społecznym przewrotem — szukają ugodowcy dróg i środków dla zahamowania tego niebezpieczeństwa. Gotowi są dać pieniądze każdemu, kto by chciał być takim hamulcem. Proponują to — bezskutecznie rzecz jasna — i Piłsudskiemu, jako przywódce P. P. S. Z niespokojną nieufnością patrzy też na Japonię — czy nie zechce ona dla swoich własnych celów podjąć w Polsce jakiejś „akcji pokatnej”, czy nie będzie próbowała wyzyskać na to elementów „zasobnych w pewną energię i w ambicję polityczną”.

Brak kontaktów własnych zmusza ugodowców do szukania pomocy u pobratymców z zaboru austriackiego. Nie odmówił im tego Wojciech Dzierżyński, faktyczny kierownik polityczny Koła Polskiego w parlamencie austriackim. Po rozmowach wstępnych w Wiedniu zaprasza Dzierżyński do swego Jedzupu ambasadora japońskiego; gość trafił na wyreżyserowany starannie zjazd szlachty i arystokracji; wszyscy — zatajają inspirację — w przypadkowych jakby rozmowach na tematy aktualne usiłują przekonać ambasadora, że jakakolwiek „ruchawka” byłaby nieszczerstwem dla Polski, że Rosja stumi ją krwawo i bełkotnie, że Japonii nie to da, przeciwnie — narazi ją na zarzut „popierania rewolucji społecznej” w Europie i bardzo jej zaszkodzi w oczach dworów europejskich. Niepewni skutków tej przeważi — usiłują ugodowcy dotrzeć do decydujących sfer japońskich. Zamozny przemysłowiec polski Seweryn Jung, przerażony „widmem rewolucji społecznej”, zwraca się w tym celu do przywódcy stronnictwa narodowo-demokratycznego, Romana Dmowskiego; namawia go do wyjazdu do Tokio, biorąc na siebie koszt, z tą daleką podróżą związane. Dmowski propozycję Junga przyjął.

Z faktu tego — zgody Dmowskiego — nie należy jednak wyciągać wniosku o pokrywaniu się stanowisk tych dwóch odłamów ówczesnych polskich myśli politycznej. Wspólny tu był tylko cel główny — zapobiec i nie dopuścić do „awantury” w Polsce. W programach jednak i w taktyce istniały różnice bardzo głębokie i jaskrawe. Coprawda — stronnictwo narodowo-demokratyczne, wywodzące się z „Ligi Polskiej” i nawet wciąż jeszcze „Liga” zwane, przechodziło wtedy przez okres głębszych przeobrażeń wewnętrznych. Dążąc — od swych początków zresztą — do ogarnięcia swymi wpływami elementów o zbyt sprzecznych interesach i nastrojach, z kilku kondygnacji społeczeństwa, bo od ziemiaństwa i kleru oraz inteligencji — mieszczaństwa i przemysłowców — nie zamknął też szeregów swoich przed napływem ludzi z obozu ugodowego. Przypomnieć tutaj trzeba, że ogłoszony przez P. P. S. na kilka lat przedtem „tajny memoriał” gen.-gubernatora Imeretyńskiego był straszliwym ciosem dla ugodowców, wykazywał bowiem całkowitą bezskuteczność i bezcelowość

polityki „uległości i pokory”. Wywołał to masowy odpływ zawiedzionych i rozczarowanych. Niektórzy rezygnowali w ogóle z wszelkiej „polityki”, inni — głębiej — przechodzili do stronnictwa narodowo-demokratycznego właśnie.

W momencie wybuchu wojny na Dalekim Wschodzie — ten świeży, napływowy element z silnymi w nim starszymi poglądami i tendencjami tworzył w szeregach stronnictwa jeśli nie większość, to conajmniej połowę. Nie można było z nim się nie liczyć — trzeba było podjąć się na pewne ustępowanie w programie i taktyce. Nie chciało jednak, a w obawie przed reakcją starszej połowy członków — nie można było wyłożyć się pierwotnego rewolucjonizmu politycznego i radykalizmu politycznego. Usiłowano więc godzić jedno z drugim, tak, by jak w przyszłości i wilk był syty i owca cała.

Z drugiej strony — faktyczny przywódca stronnictwa, Roman Dmowski, od trzech już lat wprowadzał nową swo-

ciasnym i szkodliwym”. „Kiedy mówimy — tłumaczy dalej „Przegląd” — że zdobycie niepodległości powinno być nacelnym hasłem polityki narodowej — nie znaczy to wcale, że praktycznie działalność polityczna musi zmierzać bezpośrednio do osiągnięcia tego celu” — taktyka rewolucyjna, konczy „Przegląd”, w istniejących warunkach „nie może mieć zastosoowania”, bo „nie ma teraz i o ile przewidywać można nie będzie w bliskiej przyszłości warunków dla akcji powstańczej”...

Wybuch wojny na Dalekim Wschodzie przywitało stronnictwo odezwa z nacelnym w niej hasłem bierności i ostrym zwrotem przeciwko wszelkiej „polityce czynu”. Bo — jak mówiła ta odezwa — wojna rosyjsko-japońska „nie pozwala żywić nadziei na jakikolwiek zmiany granic w Europie”, co najwyżej zmusić może carat do „zmian w ustroju i w stosunku do podbitych narodów”; z tego zaś „wypływa logicznie wniosek, że nie możemy myśleć o żadnych czynnych wystąpieniach w chwili obecnej”, bo „nie przyniosłyby one żadnych korzyści, a byłyby zgubne, jako osłabiające nas w tak ważnej chwili”. Siłowni miały być takowita. Gdy ugodowcy z arcybiskupem Popielem na czele zainicjowali sprawę „ambulansu rzymsko-katolickiego” i gdy użyto ambon dla tego celu — Liga w ostrym liście do arcybiskupa ostrzegła go przed skutkami takiej akcji, a gdy to nie pomogło — poleciła kierowanej przez siebie organizacji młodzieży rzemieślniczej „Kiliński” wybić szyby w oknach mieszkań biskupa i innych inicjatorów tej imprezy.

Z niekończącą się litaniją zakazów występowała tajna — nielegalnie kolportowana — prasa Ligi, z popularnym „Polakiem” na czele; a więc nie wolno „dawać żadnych składek na wojnę moskiewską w Azji”, nie wolno „składać ofiar na szpitala dla rannych”, należy „wycofać oszczędności z banków rządowych i złożyć je w kasach polskich”, nie wolno „chodzić na nabożeństwa, odprawiane dla upamiętnienia zwycięstwa dla Moskali” — należy „wychodzić z kościołów zaraz po sumie, nie czekając aż się carskie śpiewanie rozpocznie”...

W drugiej jednak swej odezwie — w sprawie spodziewanej mobilizacji — Liga stwierdza, że w istniejących warunkach „zależnością do oporu jest nie tylko lekkomyślność, ale zbrodnia” — „do wojska moskiewskiego trzeba iść”, bo rzad „wszelki opór stłumi — pobór czy to rekrutów czy zapasowych do skutku doprowadzi, a opornych niemiłosiernie ukarze”; „skoro się nie możemy porwać do walki przeciw Moskałom, to nie możemy również myśleć o oporze — byłoby to szaleństwem, za które drogobymy zapłacili”. Ale idąc na wojnę „każdy prawy Polak powinien zrozumieć, że idzie pod przymusem” — „powinien pamiętać, że wrogowie nasi to nie Japończycy, ale Moskale”... I „byłoby zbrodnią wobec Ojczyzny, gdyby żołnierze polscy przyczynili się do zwycięstwa Moskali”...

Ta — tak jeszcze wyraźna i nawet jaskrawa postawa antyrosyjska znajdowała dla siebie wyraz i w innej sferze działań stronnictwa. A więc — bezpośrednio po wybuchu wojny próbuje ono wejść w bliższe stosunki z P.P.S. — a to „wobec odczuwanej potrzeby porozumienia i łączności polskich stronnictw narodowych ze względu na możliwość powikłań wewnętrznych w Rosji”. Te same względy kazały stronnictwu nawrócić bliższe stosunki z rewolucyjną opozycją w Finlandii — na żądanie przedstawicieli obu stron w Kopenhadze stwierdzono „pełną zgodność programu, taktyki i zaprawy politycznej”, przyjęto też zgodnie „plan działania w kierunku wspólnej akcji narodów przez Rosję uciśnionych i porozumienia w Rosji przez założenie agencji politycznej odpowiedzialnej informowania Europy, ewentualnie stałego komitetu, służącego za łącznik organizacyjny pomiędzy tymi żywiołami”. Jeszcze w październiku r. 1904 weźmie stronnictwo czynny udział w paryskim zjeździe przedstawicieli rewolucyjnych i opozycyjnych organizacji z obszaru imperium carskiego. Przybyli na ten zjazd Polacy, Rosjanie, Finowie, Łotysze, Gruzińczycy i Ormianie. Polskę reprezentowali Witold Jodko, Al. Malinowski i K. Kelles-Krauz z P.P.S. oraz R. Dmowski i Z. Baliński ze Stronnictwa Narodowego. Zjazd — uzgadniając zasady podstawowe, jak zniesienie samowładztwa, usunięcie przemocy rosyjskiej wobec poszczególnych narodowości i prawo tych narodowości do stanowienia o swym losie — postanowił „połączyć uświadomienia w celu przwzięcia upadku absolutyzmu w Rosji”...

Jak z faktów tych wynika — stano-

(ciąg dalszy obok)

## ZUZANNA

*Piersi ledwie sklepione  
niedawa ledwie cierpkim winem  
białora wędruje dojrzałe*

*i dlatego niepokój  
dlatego się pod nim uginam.*

*Ciało? Nic o tym nie wiem.  
Zaczęło się czymś śpiewem  
zaczęło się tajemnicą*

*i dlatego różowy niepokój  
dlatego zachwycać.*

*Długo jestem naiwna  
i boję się mądrych starców:  
mgły jesienne mają w oczach  
napiły winny ich zamroczył  
w oczach przeszłość jesienią  
i głębiej mądrę i dziwne.*

*Ciało? Ja o tym nie wiem  
ale lęk a nie we, mnie drzemie*

*soczysta i przeźroczysta  
trochę różowa trochę mglista  
z zachwycem patrzę na starców  
i z oburzeniem.*

JÓZEF ŻYWINA.

ją tezę, wyrosła z przekonania, że największe niebezpieczeństwo grozi Polsce od strony Niemiec i że ogrom tego niebezpieczeństwa wymaga nie walki, lecz porozumienia z Rosją. Dmowski nie zarwał jednak tej nowej swej tezy zbyt stanowczo, bo i sam jeszcze szukał dla niej formy i dróg, obawiał się też musiał reakcji zarówno starszych dółów organizacyjnych, jak i twórcy Ligi, starego Jeża-Milkowicza, nieprzejędanego niepodległościowca i niezłomnego propagatora „walki czynnej”, a przez niego i Komisji Nadzorczej Skarbu Narodowego w Rapperswilu, przyznającej odsetki ze Skarbu Lidze na jej „walkę z zaborcą rosyjskim”. Nie wyrzekano się więc jeszcze niepodległości, ale zerwano już definitywnie z tak silnie do niedawna grającą propagandą powstańczą; tak żywe w Lidze hasło walki zbrojnej z Rosją, zepchnięto już wyraźnie na poziom „niebezpiecznej zabawki dla półgłówek” lub w najlepszym razie „szaleńców, porywających się z motyką na słońce”. Tolerowano jednak jeszcze i w szeregach organizacji i w jej organach pragnących najostrożniejsze objaśnienie nieufności, niechęci, a nawet nienawiści do „Moskali”.

Co więcej — dopuszczono i nawet zachęcono do czynnego, ale „umiarkowanego” rewolucyjnego manifestowania uczuć antyrosyjskich. Gdy zniecierpliwieni tym ugodowcy zarzucili Dmowskiemu i jego stronnictwu dwulicowość — gdy rzucili pytanie: „Skoro o powstaniu nie myślicie i ani bezpośrednio ani pośrednio do tego rodzaju akcji nie dążycie, to dlaczego nie złożyć wyrażonego oświadczenia, że zasadniczo potępiacie wszelką akcję rewolucyjną?” — naczelny organ stronnictwa, „Przegląd Wszechpolski” w artykule „Doktryna a realizm w polityce”, odpowiedział, że takie oświadczenie byłoby „sprzeczne ze stanowiskiem stronnictwa” i że „potępienie bezwzględne stanowiska rewolucyjnego byłoby uznaniem bezwzględności stanowiska ugodowego, byłoby zastąpieniem doktryny przez cięsnego i szkodliwego innym doktrynerstwem równie

**POLSKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE**

**Gryf Publications Ltd.**  
LONDYN  
169/171, Battersea Church Road,  
S. W. 11, tel. BATtersea 0879.

**JUŻ SIĘ UKAZAŁA**  
DAWNO OCZEKIWANA  
KSIĄZKA  
**TADEBUŚ WITLIŃ**  
**Diabeł w Raju**  
CENA 12/6  
Rosja widziana oczami humorysty.

**Z STYPULKOWSKI**  
**W ZAWIERUSIE DZIEJOWEJ**  
W luksusowej oprawie sztywnej  
Cena £1.10 lub \$4.00  
Książka, której wydania w obcych językach są sensacją światową.

**Stanisław Mackiewicz**  
MELINA  
potężny dramat polityczny, rozgrywający się na tle mitu Hitlera i żelaznej organizacji wywiadu sowieckiego.  
Cena 3/6

Pierwszy polski „dreszczowiec”, sensacyjna powieść J. Jasińczyka, autora „Ślowa o Bitwie” i „Po Narwiku był Tobruk”  
**WALTER 7,65**  
CENA 7/6 LUB \$1.05 (poza W. Brytanię)  
Stali abonent „Orła Białego” mogą zapłacić tę książkę za cenę 6/- (przy nadesłaniu 3d. za port). Jest to książka pulsująca życiem, bez upiększeń, pokuszająca ludzi prawdziwych, których wykołaja wojna.

**Ponadto polecamy książki które powinny znajdować się w każdym domu polskim**

**WŁADYSŁAW ANDERS**  
**BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU**  
Wydanie drugie w luksusowej oprawie sztywnej.  
Cena 1.0.0  
Książka, której ostatni rozdział napisał historia.

**ZBRODNIA KATYŃSKA**  
**W ŚWIETLE DOKUMENTÓW**  
z przedmową Generała Andersa  
Wydanie drugie uzupełnione, z 80 ilustracjami.  
Cena 15/-

Polecamy także wszystkie wydawnictwa polskie wg katalogów na żądanie.  
Wysyłka po nadesłaniu należności na adres  
„GRYF PUBLICATIONS LTD.”  
169/171, Battersea Church Road,  
London S. W. 11.



PAWEŁ ZAREMBA

# KANDYDATURA EISENHOWERA

Zgoda Eisenhowera na kandydaturę w tegorocznych wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych jest w pewnym przynajmniej sensie krokiem uzgodnionym między kierownikami życia politycznego tego kraju. Nie wynika z tego oczywiście, by uzgodnienie to odbyło się w sposób nie pozostawiający żadnej ze stron możliwości wycofania się, w razie nowych okoliczności lub wytworzenia się lepszej koniunktury dla własnych celów politycznych. Historycy dopiero będą mogli kiedyś, jeśli Eisenhower zostanie Prezydentem, wysledzić jaka była istotna treść prywatnych i napewno tajnych, nawet dla prawdziwej góry Partii Demokratycznej, rozmów Eisenhowera z Trumanem.

Rozmowy takie były i kandydatura Eisenhowera była ich przedmiotem napewno. Odbywały się one również przed poprzednimi wyborami, gdy nazwisko Eisenhowera straszło innych kandydatów republikańskich do chwili, gdy oświadczył on wyraźnie, i dość pompatycznie, że kandydować nie będzie. W rozmowach ostatnich sprawa uporządkowania jego „stosunku służbowego” — Eisenhower jest przecież czynnym w tej chwili wojskowym obojczykiem w dodatku misją ważniejszą niż misja którą nosił na barkach, gdy był Naczelnym Wodzem w 2. wojnie światowej — z Prezydentem, który jest jego przełożonym także w sensie wojskowym a nie tylko politycznym, była zapewne tematem drugorzędnym. Według prawa amerykańskiego wojsko nie jest „la grande muette” francuska, każdy zaś czynny wojskowy ma prawo ubiegać się a raczej przyjąć wybór na każde stanowisko polityczne federalne czy stanowe, jeśli zostanie na nie powołany. Ma prawo przyjąć, nie ma jednak prawa o nie w sposób czynny się ubiegać. Innymi słowy, nie wolno mu uczestniczyć w kampanii wyborczej, a zwłaszcza takiej, gdzie jej treść istotną sprowadza się do zwalczania swych przełożonych. Nie zawsze tak było. Fremont, a zwłaszcza McClellan ubiegali się w sposób czynny o urząd Prezydenta będąc w wojsku, ubiegali się wbrew woli i sprzeciwom Prezydenta. McClellan nawet został oficjalnym kandydatem i jednym z najważniejszych przeciwników Lincolna w r. 1864. Wybory te zresztą przegrał, głównie dzięki głosom wojska w polu, które często pod zupełnie jawnym przysmakiem i przy dużej ilości nadużyć, głosowało na Lincolna.

Nacisk jednak, jakiby obecnie Truman wywarł na Eisenhowera, aby odwieść go od kandydowania; byłby czymś nie do zniesienia dla społeczeństwa amerykańskiego i byłby samobójstwem politycznym partii demokratycznej.

Domyślać się należy, że tematem pertraktacji między Trumanem a Eisenhowerem była sprawa inna: Układ polityczny Stanów Zjednoczonych i obecna sytuacja wewnętrzna na tle skandali łapowniczych w skarbowości federalnej, obsadzonej bez reszty przez demokratów i to często przez osobistych faworytów Trumanu, jest tego rodzaju, że „nominacja” Trumana na kandydata Partii Demokratycznej jest co najmniej niepewna, w razie zaś jego nominacji wybór przeciwnika — republikanina bardzo prawdopodobny, bardziej może niż cztery lata temu, gdy republikanie liczyli na zwycięstwo tylko na zasadzie obliczenia, że kraj chce zmiany. Eisenhower wysunięty przez demokratów oznaczał by de fac-

to uratowanie własnego prestiżu i zasługę rezygnacji z własnych interesów partyjnych na rzecz dobra kraju. Oznaczał by również świadczym przez partię demokratyczną, iż uważa ona sytuację międzynarodową za na tyle niebezpieczną i zapowiadającą wojnę, iż najlepiej jest całokształt władzy skomasować w ręku fachowca, mającego za sobą uznanie własnego społeczeństwa i, co może ważniejsze, cieszącego się ponadto popularnością w zachodniej Europie, u owego najtrudniejszego alianta, którego należy zbawiać wbrew lub nawet pomimo jego woli.

Eisenhower jako kandydat republikański nie oznacza zapowiedzi zbliżającej się wojny. Oznacza jedynie wytoczenie najcięższego działu z arsenału przeciwko demokratom usadowionym w siódle już od ponad lat dwudziestu. A zatem wartość aktywu Eisenhowera dla republikańców jest olbrzymia bez względu na sytuację międzynarodową.

Równocześnie jednak Eisenhower jako kandydat republikański, najprawdopodobniej zwycięski, nie oznacza klęski we właściwym tego słowa znaczeniu dla demokratów. Oznacza po prostu, że kraj wybiera człowieka zasłużonego ponad przeciętną miarę tylko i wyłącznie dla jego zasług osobistych. Fakt, że występuje on jako republikanin należy uznać tylko za przypadek, nie mający nic wspólnego z wyborem. Politycznie zaś, dla demokratów wybór Eisenhowera jest swego rodzaju zwycięstwem, większym może niż dla republikańców. Oznacza bowiem przegraną konserwatywnych, antypostępowych, „klasycznych” republikańców spod znaku Tafta. Odrzuciwszy nazwy partyjne, w tej chwili Taft jest mimo zaprzeczenia z jego strony ostatnią nadzieją izolacjonizmu amerykańskiego dla którego „drop it like a hot potato” (odrzucić jak parzący kartofel) — hasło z okresu po — wilsonowskie — w odniesieniu do Europy jest właściwym interesem Stanów Zjednoczonych, zamiast pomocy marshallowskiej, pożyczek i wojska dla jej obrony.

W Ameryce walka między nową szkołą myślenia kategoriami całego świata a obozem izolacjonistów nie jest zakończona. Eisenhower nie jest izolacjonistą, tak jak nie są demokraci i jak nie jest cała postępująca grupa republikańców spod znaku Stassena.

A jednak dla republikańców nie ma innych kandydatów. Albo Eisenhower, albo Taft. Jeśli Taft to szanse wygrania nie są wielkie i wszystko zależy znowu od kaprysu miliona niezdeterminowanych wyborców w ostatni dzień przed głosowaniem. Jeśli Eisenhower — zwycięstwo jest pewniejsze.

Na to jednak by osiągnąć to zwycięstwo, mile dla przeciwników, a nie zupełnie wygodne dla siebie, trzeba dwóch rzeczy. Po pierwsze Eisenhower musi się zgodzić na kandydowanie i jako republikanin, po wtóre trzeba go przemianować przez tyścieczne spłaty intryg i kombinacje partyjnych, by na konwencji — walnym zjeździe partii — został przez nią wyznaczony jako kandydat.

Dziś dowiadujemy się z oświadczenia senatora Lodge'a, wielce wpływowego republikanina z Nowej Anglii, że Eisenhower ostatecznie zgodził się na dwie rzeczy zasadnicze. Zgodził się mianowicie na to, że „z pochodzenia” jest republikaninem i że „jeśli go powołają” on sprzeciwić się nie będzie. Dalej nastąpiły oczywiście, lecz wyjątkowo godnie sformułowane przypomnienia, że żadnego udziału w kampanii brać nie będzie i że cały swój czas i energię do dnia wyborów poświęci zadaniu, które ma obecnie na barkach i które wymaga jego obecności w Europie. „Pochodzenie” republikańskie, nie poparte jakimś dalekim idącym wyznaniem wiary jest dużą wygodą nie dającą bowiem żadnych argumentów politycznych przeciwko niemu. Ułatwia też „budowanie” t. zw. „platformy” wyborczej t. j. programu działania, z jakim się przeprowadza w Ameryce kampanię wyborczą. „Platforma” ta zresztą jest przeważnie zbiorem nic nie mówiących banałów, których celem jest uspokojenie niezliczonych faktyczek istniejących w ramach partii, która przecież nigdy nie jest organizacją jednolitą i nigdy nie ma i mieć nie może żadnego konkretnego programu, skoro ma zadowolić tak różne interesy, jak interes przemysłu węglowego i farmerów na Middle West. „Platforma” Eisenhowera będzie zatem mogła bez obawy nieprzyjemnych tłumaczeń otrzymać takie brzmienie, by zadowolił wszystkich bez wyjątku... poza najbardziej zaciętymi jego przeciwnikami t. j. żelazną gwardią republikańców z Taftem na czele!

Z jej też strony należy spodziewać się najpoważniejszych przeszkód. Gdyby wystarczała zgoda na kandydowanie wyrażona dziś przez Eisenhowera i gdyby od dziś do dnia wyborów nie się więcej na ten temat nie mówiło i nie robiło, wybór jego byłby stuprocentową pewnością. Tak jednak nie jest. Opinia kraju nie zawsze pokrywa się z wynikiem balotowania na konwencji partyjnej. Mechanizm partyjny działa w sposób następujący. Naprzód w łonie każdej partii odbywa się t. zw. „prymarie” w poszczególnych stanach, na których wybiera się delegatów na konwencji partii z zaleceniem głosowania na tego lub innego kandydata. Często pozostawia się możliwość decyzji w ręku delegatów samych czyli innymi słowy w ręku najbardziej wpływowych przywódców z danego stanu. Chodzi przy tym o zachowanie możliwie największej elastyczności działania, możliwości natychmiastowych zmian, przetrucania głosów z jednego kandydata na drugiego, sztucznego pomniejszania lub zwiększania większości, — wszystko po to by ułatwić targi o przyszły „podział łupów” w postaci takich czy innych przywilejów dla stanu lub dla poszczególnych ludzi. Dzięki temu balotowania ciągną się w nieskończoność i są właściwie zewnętrznym wyrazem targów i przetargów w łonie „góry” partyjnej.

Wreszcie kogoś się wyznacza, często za cenę ustępstw dla tej czy innej grupy. Powstaje wtedy sławna „platforma” wyborcza, dziwoląg, który ma zadowolić wszystkich, nie nikomu nie dając. Zdarza się jednak i tak, że najważniejszy kandydat, zwłaszcza, jeśli jest człowiekiem o dużym charakterze i silnych przekonaniach a małych powiązaniach zakulisowych i politykierskich, nie godzi się na to, czy inne ustępstwo... i wtedy niespodziewanie partia wyznacza kogoś innego, nieraz człowieka, który w pierwszym balotowaniu był na trzecim lub czwartym miejscu.

Gdy jest na widowni kandydat silny, jak w tym wypadku Eisenhower, taktyka polega na wysunięciu możliwie dużej ilości kandydatów ostatnich, by zwiększyć rozbiście głosów i spowodować możliwie dużo zamieszania.

Dziś poza Taftem ubiegać się o „nominację” republikańską będzie — nie licząc szeregu „local boys”, ulubieńców nieznanych zupełnie po za własnym stanem — Warren z Kalifornii i Stassen z Minnesoty. Stassen mógł być wygrać wybory dla republikańców, gdyby go nominowało cztery lata temu, miałby bowiem za sobą cały Middle West rolniczy, anti-taftowski i anti-deweyowski, który ostatecznie głosował na Trumana. Republikanie popełnili błąd nie nominując Stassena. Nie wynika jednak z tego wcale by miał on szanse w tej chwili, po prostu miałby jednorazową dobrą koniunkturę, która może nigdy się nie powtórzyć. Zapewne będzie musiał „rzucić” swe głosy na szalę Eisenhowera na konwencji, licząc do ostatniej chwili, że jeśli ten z jakiegokolwiek przyczyn kandydaturę wycofa, zmierzy się wtedy sam z Taftem.

Jeśli Eisenhower się wycofa... Oczywiście, że to się zdarzyć może przede wszystkim wtedy jeśli nie zechce wdać się w drobiazgowo rozgrywecki z tą czy inną kliką.

Cóż jednak dziś powiedzieć można o demokracach? Utańczył się obyczaj, że konwencja demokratyczna odbywa się zwykle po konwencji republikańskiej, w pewnym więc sensie mają oni zawsze możliwość „dopasowania” swego kandydata do kandydatów przeciwników. Truman milczy — Południe, które dokonało rozłamu w poprzednich wyborach występując z własnym kandydatem w imię walki z „reformami” społecznymi Trumanowskiego „Fair Deal” nie zapomniało porażki i zaczęło już lansować kandydaturę senatora z Tennessee Keefauvera. Jest to człowiek stosunkowo młody, któremu telewizja dała olbrzymią popularność w całym kraju, gdy przewodniczył komisji senackiej badającej stan moralności społecznej Ameryki, wyciągając przed obiektywem legiony najrozmaitszego rodzaju złodziei, łapowników i podejrzanych „sprzedawców wpływów” („influence peddlers”), wśród których niedługo stała aż nieprzynieśnie blisko samego Trumana. Prócz tego nie można zapominać o roli politycznej senatora z Illinois Douglasa o wielkim dla historii politycznej Stanów Zjednoczonych nazwisku, zdecydowanego przeciwnika Trumana, który puszcza

już baloniki próbne na dwie strony, mówiąc równocześnie o swej kandydaturze i o poparciu dla Eisenhowera, a nawet jeśli ten ostatni będzie kandydatem republikańskim.

Tu zdaje się leży klucz do planu marnego demokratów. Liczą oni być może, że jeśli z jakiegokolwiek przyczyn Eisenhower nie będzie kandydował z ramienia republikańców i jeśli nie uda im się łatwo wysunąć własnego kandydata, który by zadawał wszystkie fakte, to będą oni mogli jeszcze upiec pełną pieczę na ogniu wysuwając Eisenhowera jako... demokrate. Nie są to wypadki nieznanne w Stanach Zjednoczonych.

A wreszcie możliwość ostatnia, na którą może celować będzie właśnie Douglas, — uczynić z Eisenhowera „kandydata narodowego”, popierając jego kandydaturę w tym charakterze. Było by to wytrącenie całkowicie broni z ręki republikańców. Plan taki odpowiadałby również demokratom z Południa, dla których określenie „gentleman” jest zawsze najlepszą kwalifikacją.

Tymczasem Eisenhower oświadczył, że jest „pochodzenia republikańskiego” zgodnie z tradycjami miasta Abilene w Kansas, znanego dobrze bywałym filmom „cowbojskich”, jako punkt tranzytowy w przegonie bytła z Teksasu do rzeźni chicagowskich.

I jeszcze jedno. Eisenhower byłby 11. Prezydentem — generałem którego zasługi wojenne usadowiły w fotelu w Białym Domu. Nie jest to zatem wypadek niezwykły. Milczenie jego przed wyborami przypomina nieco milczenie Granta, który był wielkim generałem i bardzo złym politykiem. Zdaje się jednak, że nie należy tu wyciągać żadnych smutnych prognostyk z tego powodu. Eisenhower ma szanse nie tylko jako generał — ma jako człowiek. Szanse jako generał i tylko jako generał chciałby mieć McArthur. McArthur jednak, jak przewidywaliśmy w czasie jego ustąpienia, przez nikogo wysunięty nie został.

A wreszcie. Jak zawsze, tak zwłaszcza w tym roku, cały świat będzie wzdychał, by wybory odbyły się jak najprędzej i by kogoś wybrano. Czym bliżej bowiem wyborów tym mniej pewną będzie ręka Stanów Zjednoczonych w kierowaniu sprawami wolnego świata.

S. KLINGA

## WALKA O AZJĘ

Omawianie z dnia na dzień coraz to nowych wydarzeń zawiera w sobie niebezpieczeństwo dla komentatora, że jest on ciągle zalewany falami wypadków i posunięć, które często mają charakter przejściowy i taktyczny, znaczenie zaś ich jest wyolbrzymiane przez propagandę. W tych warunkach łatwo jest zgubić z oczu zagadnienia podstawowe, niezmiennie interesy głównych potęg światowych oraz długotrwałe procesy historyczne, które mimo chwilowych zahamowań lub odchylenia się raz w prawo raz w lewo, niezmiennie posuwają się naprzód w zasadniczo niezmiennym kierunku.

W rozwoju polityki międzynarodowej istnieje pewna logika, pewien stopień konieczności, narzucony przez geografie oraz rozwój demograficzny. Opierając się na tych przesłankach, można dość prawidłowo przewidywać rozwój wydarzeń na długą metę, a równocześnie bardzo się mylić w przewidywaniach na krótką metę, bo wymagania taktyczne, przejściowa niemożność działania i zwykłe błędy w osądach mężów stanu — powodują nieraz poważne zbrocenia od tego, co się nazywa racją stanu poszczególnych państw.

Przykładem, podpierającym słuszność powyższych uwag, może być próba przewidywania przyszłości przez autora niniejszego artykułu, dokonana w kwietniu 1944 r., o której autor wspominał, a niedawno przypadkiem odnalazł w prywatnych archiwach. Przewidywanie to było następujące: „Tereniem rosyjsko-niemieckiej rywalizacji jest Europa Środkowo-Wschodnia i Balkany. Stosunki anglo-sasko-rosyjskie są o wiele bardziej skomplikowane, ale można z dużą dozą ścisłości stwierdzić, że głównym terenem rywalizacji Rosji z Anglosasami jest Azja. Europa, zwłaszcza Europa Środkowo-Wschodnia, gra wprawdzie olbrzymią, może nawet decydującą rolę w zarysowującym się konflikcie interesów przyszłych zwycięz-

ców nad Niemcami, ale jednak jest to rola raczej pochodna, wynikająca z konfliktu na terenie Azji. Interesy Stanów Zjednoczonych w Azji skupiają się w Chinach, dla Imperium zaś Brytyjskiego najwyższą stawką są Indie. Problem brytyjskiej polityki imperialnej polega na tym, jak dać Indiom wolność, a nie dać Rosji wolności penetracji w Indiach.”

Ta ocena nie była potwierdzona przez wypadki, które nastąpiły bezpośrednio po wojnie. Od zakończenia wojny do 1948 r. włącznie sprawy europejskie odgrywały główną rolę w polityce międzynarodowej. Zniszczenia wojenne, zubożenie i chaos polityczny, pozostawione w Europie przez niemiecką okupację, stworzyły bardzo sprzyjające warunki dla komunistycznej penetracji i Kreml starał się tę sytuację wykorzystać. W r. 1947 ogłoszono „doktrynę Trumana” i Plan Marshalla odbudowy Europy. Potem Rosja rozpoczęła blokadę Berlina, podczas gdy w Grecji trwały walki między rebelią komunistyczną a wojskami i rządowymi, wspieranymi przez Anglików i Amerykanów. Rok 1948 był rokiem zwrotnym w Europie. Rosja cofnęła blokadę Berlina, uderzoną przez t. zw. most lotniczy, a walki w Grecji zostały poniecane. Rosja nie tylko zakończyła wtedy swoją ofensywę w Europie, ale jeszcze poniosła straty na skutek wylamania się z sowieckiego bloku Jugosławii. Europa odbudowywała wytwórczość i podnosiła stopę życiową. Nie spowodowało to dużego spadku liczby głosów oddawanych na komunistów w wyborach, lecz rozpad rewolucyjny europejskich partii komunistycznych osłabił. Rok 1949 był rokiem odwrócenia w stosunkach międzynarodowych i ustabilizowania się sytuacji politycznej w Europie. Ale w tym roku nastąpiło opanowanie całych Chin przez komunizm oraz dokonany został pierwszy wybuch atomowy w Rosji. W

r. 1950 w czerwcu, rozpoczęła się wojna koreańska.

Od tego czasu środek ciężkości polityki międzynarodowej przemieścił się do Azji. McArthur twierdzi, że — na stałe, a raczej na dłuższy okres historyczny, bo nie stałego na świecie nie ma. W przeciągu 1951 r. i na początku roku bieżącego trwała nadal wojna na Korei, prowadzone były wielomiesięczne rokowania o rozejm, wojna w Indochinach i walki z terrorystami na Malajach toczyły się bez przerwy, podpisano traktat pokojowy państw zachodnich z Japonią, zawarto system układów wojennych na Pacyfiku obejmujący Stany Zjedn., Japonię, Australię, Nową Zelandię i Filipiny, Północna zlikwidowała brytyjskie koncesje naftowe, Egipt wypowiedział układ z W. Brytanią o obronie Kanalu Sueskiego i kanał ten jest trzymany dziś w brytyjskim ręku przy pomocy siły zbrojnej. W Indochinach odbywają się wybory, obejmujące 175 milionów wyborców i komuniści uzyskują niespodziewanie dużą ilość głosów oraz mandata, bijąc zdecydowanie swych rywali socjalistycznych, przedstawiciel zaś Rosji w ONZ, p. Malik wkroczył w dziedzinę sporu między Indiami i Pakistanem, oskarżając mocarstwa anglosaskie o zamiar stworzenia na terenie Kaszmiru bazy do działań przeciw Rosji i Chinom.

To właśnie sowieckie posunięcie może być początkiem bardziej energicznej penetracji Rosji do Indii. Zajmując w sprawie Kaszmiru stanowisko sprzyjające Indiom i niesprzyjające Pakistanowi w czasie, gdy jeszcze trwają wybory, Kreml spodziewa się napewno wpłynąć na zdobycie większej ilości głosów dla komunistów, a potem pokierować liczną grupą komunistycznych posłów w parlamencie. Równocześnie jest to chwyt, zmierzający do podniesienia nastrojów przeciwnikowskich i przeciwoamerykańskich w hin-

(dokończenie na str. 12)

(dokończenie ze str. 8)

wisko i działania stronnictwa w niczym nie przypominały „polityki uległości i pokory” — były jeszcze dalekie nawet od tej „rozumnej umowy”, na jaką z czasem dopiero pójdzie Dmowski. Ale przecież przy tak wielkich i jaskrawych różnicach — istniały cele, z różnych też przesłanek wyrosłe — ale jednak i wspólne. Dmowski również z niepokojem patrzył na istniejące w kraju „żywy”, które — jak o nich pisał — „w swym namyślnym pragnieniu użytkowania przed innymi, jak motoru, budzącej się energii politycznej naszego ludu, nigdy nie dają pewności, że nie uszczęśliwią kraju jakimś niewczesnym pomysłem”. Bo — jak pisał w „Przełęczach” — „jakiegokolwiek wybuchy, któreby rządowi dały sposobność do użytkowania mas wojska w szerszej mierze, któreby przez to dały całemu krajowi boleśnie uczyć się zbrojną państwa — przyniosłyby w chwili obecnej ogromną naszej sprawie szkodę — byłby narodowym nieszczęściem”. Z tych założeń wychodząc — starał się Dmowski „niewczesnym pomysłem” zapobiec. Pod tym też kątem patrzył na Japończyków, z którymi kontakt nawiązał przy pośrednictwie Finów, bezpośrednio po wspomnianym już zjeździe w Kopenhadze.

(c. d. n.)

Listy do Redakcji

Z powodu nawału materiału z pierwszym opóźnieniem drukujemy dwa późniejsze listy, które otrzymaliśmy z Birmingham: Pierwszy zawierał następującą uchwałę:

UCHWAŁA POLSKIEGO KOMITETU OBYWATELSKIEGO W BIRMINGHAM Z DNIA 22. 12. 1951.

Uważając za niezmiernie doniosłe i potrzebne zjednoczenie wysiłków wszystkich stronnictw i grup społeczeństwa emigracyjnego w dążeniu do odzyskania niepodległości, oraz biorąc pod uwagę treść listu generała Kukieła jako mediatora, skierowanego do premiera dr. Adzierskiego („Dziennik Polski” z dnia 17 listopada 1951) jako też komunikat Rady Politycznej ogłoszony w tej sprawie („Dziennik Polski” z dnia 23 listopada 1951) — Polski Komitet Obywatelski w Birmingham postanowił jednomyślnie ogłosić następujące oświadczenie:

1. Doniosłość chwili dziejowej wymaga od wszystkich uczciwych Polaków na całym świecie, zrzeszonych w stronnictwach czy bezpartyjnych, dobrowolnego i obojętnego, bez żadnych warunków i zastrzeżeń, zgłoszenia się do wspólnych wysiłków i zorganizowania współpracy dla osiągnięcia bytu niepodległego.

2. Ustawa konstytucyjna w nieznacznej części została gwałtownie naruszona przez nacjonalistyczne i autoritarne władze, wskazuje ona, kto ma stać na czele Narodu i przywołać go do walki o Niepodległość. Ustawa ta w żadnym wypadku nie może być przez nikogo podkopana lub naruszana w czasie wojennym ani umożliwiająca zebranie się Sejmu i Senatu.

3. Stawianie przez stronnictwa z Rady Politycznej „warunków” swego udziału w „jedności” jest niemoralnym żądaniem zapłaty za swoją współpra-

ca, jest wykorzystywaniem sytuacji społeczeństwa polskiego znajdującego się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

4. Żądanie ustąpienia legalnego Prezydenta, powołanego przez Konstytucję i bieg wydarzeń historycznych do przewożenia i koordynowania wysiłków niepodległościowych Narodu w czasie wojny uważamy za absolutnie niedopuszczalny, w najwyższym stopniu karygodny wybrzydki odzwierciedlający brak należytego poczucia obowiązku obywatelskiego.

5. Uchylenie się od obowiązku płacenia składek na Skarb Narodowy i przeciwdziałanie mu, zamiast koniecznego budowania świadomości ogółu oraz jego gotowości do poświęceń i ofiarnej służby wspólnej idei niepodległości, jest również dowodem całkowitego odejścia przywódców partyjnych Rady Politycznej od nastrojów polskiego społeczeństwa, jego ideałów i potrzeb.

6. W tym stanie rzeczy uważamy, zgodnie z naszym sumieniem jako Polaków, że przynocny wchodzący w skład Rady Politycznej z Polskiej Partii Socjalistycznej, Stronnictwa Narodowego i NiD w żadnym wypadku, jako politycy nie mogą być obdarzeni zaufaniem polskiego społeczeństwa emigracyjnego.

Działalność ich, uniemożliwiająca zjednoczenie wysiłków społecznych, wyrządza olbrzymie szkody ruchowi niepodległościowemu Polski i przynosi wielkie korzyści naszemu wrogowi.

Prezydium Polskiego Komitetu Obywatelskiego w Birmingham

LIST KOMITETU KOORDYNACYJNEGO ORGANIZACJI POLSKICH W BIRMINGHAM

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, W związku z pismem t.zw. Polskiego Komitetu Obywatelskiego w Birmingham, zamieszczonym w numerze 49 „Orla Białego” z dnia 10 grudnia 1951 r., prosimy o zamieszczenie powyższego oświadczenia.

Komitet Koordynacyjny Organizacji Polskich w Birmingham jest organizacją wyłonioną spośród wszystkich polskich organizacji społecznych na terenie Birmingham.

Komitet ten pamiętał zawsze o wszystkich sprawach społecznych dotyczących Polaków w Birmingham, jak również starał się by polskie święta i rocznice narodowe były obchodzone i czczone. W imprezach tego rodzaju wyróżniał wyjątkowo 3 Maja, 15 sierpnia i 11 listopada.

Od trzech lat imprezy te z mniejszym lub większym nakładem finansowym, oraz na wyższym lub niższym poziomie, niemniej jednak były przez ten Komitet organizowane i zawsze ku ogólnemu zadowoleniu całej Polonii w Birmingham, czego dowodem nie tylko b. liczna frekwencja, ale i szereg podziękowań złożonych na ręce organizatorów, za wyjątkiem malej grupy ludzi wchodzących w skład naszej powstającej Polonii Komitetu Obywatelskiego, która ostatnio wystąpiła przeciw zorganizowanemu społeczeństwu w Birmingham.

Polski Komitet Obywatelski jako zespół ludzi, o celach i charakterze wyłącznie politycznych, nie ma prawa występowania w imieniu ogółu Polaków w Birmingham tym bardziej, że żadnej działającej na tutejszym terenie organizacji nie jest wiadome kiedy i w jaki sposób ten Komitet Obywatelski powstał.

Komitet Koordynacyjny Organizacji

Polskich w Birmingham grupujący wszystkie organizacje społeczne, a tym samym wszystkich Polaków w Birmingham, bez różnicy ich przekonań politycznych, reprezentuje na zewnątrz i ma wyłączne prawo wypowiadania się w imieniu ogółu społeczeństwa polskiego w Birmingham.

Łącząc wyrazy należnego poważania Przewodniczący Komitetu Koord. Organizacji Polskich w Birmingham

(—) H. Witkowska  
Polskie Duszpasterstwo Katolickie w Birmingham.  
Polskie Koło Katolickie.  
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów Kolo Nr. 225.  
Związek Robotników i Rzemieślników Polskich Kolo Nr. 65.  
Związek Inwalidów Woj. P.S.Z.  
Samopomoc Lotnicza Kolo Birmingham.  
Towarzystwo Pomocy Polakom Birmingham.

122, Gravelly Hill, B'ham 23.

(Zamieszczając powyższy list, musimy z ubolewaniem stwierdzić, że jest on wyrazem rozbitcia polskiego życia organizacyjnego w Birmingham. Nie mamy możliwości ustalić, który Komitet posiada bliższe oparcie w społeczeństwie. Te okoliczności mogłyby stwierdzić tylko ogólne wybory. Wobec tego, że tych wyborów nie ma, a nawet ich idea jest zwalczana przez pewne ugrupowania, żadna grupa polityczna czy społeczna w obozie niepodległościowym nie może — naszym zdaniem — przypisywać sobie „wyłącznego prawa wypowiedziania się w imieniu ogółu społeczeństwa w Birmingham” — w danym wypadku w Birmingham. — Red.)

JÓZEF KALEŃKIEWICZ

Iskierki ze Stanów Zjednoczonych

Z okazji otwarcia sesji kongresu St. Zjedn. Polaków prawdopodobnie zainteresuje oświadczenie kongresmana T. Machrowicza, że do Komisji Katyńskiej stale napływa b. wiele interesującego i dowodowego materiału i że kongresman Machrowicz zamierza, podawać wszystko do wiadomości publicznej bez względu na to, że wiadomości te niejednokrotnie mogą skompromitować wyższych urzędników poszczególnych departamentów rządu Stanów Zjedn.

Amerykański Komisarz okupacji w Niemczech Zachodnich, John J. McCloy nadesłał do Washingtonu swój raport o sytuacji w Niemczech, w którym ujął, że zachodni Niemcy, podniecani są przez socjalistyczną krytykę obecnego stanu rzeczy w Niemczech. Wpadają w stan coraz większego oburzenia na aliantów i bliski są rewolty przeciw władzom okupacyjnym.

McCloy podkreśla, że większość Niemców nie jest wrogo usposobiona do mocarstw zachodnich. Podniecanie Niemców, zdaniem McCloy'a jest wynikiem „zbyt długiego patrzania na władze cudzoziemskie” wydające im rozkazy, nakazy i zakazy jak mają żyć, co czynić, czego unikać itd. itd. Coraz to częściej, brzmi raport McCloy'a, zauważa się objawy pogardy i nienawiści do władz okupacyjnych i narodów, które przyczytny się do pokonania Niemców w ostatniej wojnie.

Działacze niemieccy wmawiają w społeczeństwo, że mocarstwa okupacyjne odpowiedzialne są za obecne trudności narodu niemieckiego.

Wszyscy redaktorzy czasopism amerykańskich wzięli udział w ankiecie na temat wyboru „najpopularniejszej” osoby w 1951 r. „Ogromna większość

głosów padła na nazwisko gen. Mac Arthura. Gen. MacArthur otrzymał dwa razy więcej głosów, niż gen. Eisenhower.

W Waszyngtonie uruchomiono dwa biura propagandowe na rzecz kandydatów na przyszłego Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jedno biuro propaguje republikanina Tafta, który oficjalnie wyraził chęć ubiegania się o fotel prezydencki. Drugie biuro otworzyli przyjaciele gen. Eisenhowera. Prez. H. Truman zabronił pracownikom rządowym przyjmowania prezentów, pożyczek i najwyczejniejszych usług od osób, które pozostają w kontaktach handlowych z rządem federalnym.

Zarządzenie to prez. Truman wydał na podstawie stwierdzonego łapownictwa uprawianego przez niektórych urzędników federalnych. Sprawa ta wywołała wielkie oburzenie w całych Stanach Zjednoczonych.

Biały Dom stara się uspokoić wzburzoną opinię publiczną, w którym to celu przeprowadza się „czystkę” wśród urzędników, a Kongres powołał specjalny Komitet Inwestyacyjny, na którego czele stanął kongresman King z Kalifornii (demokrata).

M. in. badana jest sprawa rzekomej półmilionowej łapówki wyludzonej przez wyższego urzędnika federalnego od Abrahama Teitelbauma, byłego doradcy prawnego słynnego gangstera Al Capone'a.

Po ratyfikacji pokoju z Japonią gen. Ridway nie będzie najwyższym przedstawicielem St. Zjedn. w Japonii, gdyż zostanie nim ambasador St. Zjedn.

Stąd też gen. Ridway zmuszony będzie wyprawać się z amerykańskiej ambasady w Tokio, która od czasu

ostatniej wojny była siedzibą dowódcy wojsk amerykańskich okupujących Japonię.

W grudniu 1951 r. stan bezrobotnych w U.S.A. wyniósł 1.828.000 czyli o 212.000 więcej niż w listopadzie.

Radio Corporation of America oblicza, że na dzień 1 stycznia 1952 r. znajdowało się w użyciu 15.000.000 aparatów telewizyjnych, to znaczy, że 1 aparat przypada na 10 mieszkańców Stanów Zjedn.

W roku bieżącym przemysł telewizyjny zamierza wyprodukować 4.500 tysięcy aparatów.

Aczkolwiek telewizja cieszy się coraz to większą popularnością, pomimo to daleko więcej jest w Ameryce w użyciu aparatów radiowych, których wyprodukowano i sprzedano około miliona aparatów.

John W. Gibson przewodniczący amerykańskiej Misji Rozmieszczenia uchodźców oświadczył, że w okresie 1948 r. do końca 1951 r. sprowadzono do Stanów Zjedn. 336.000 uchodźców (dipisów). Sprowadzenie tak dużej liczby uchodźców kosztowało Amerykę 8.100.601.000. Koszty te zostaną zwrócone przez nowoprzybyłych w ciągu trzech lat w postaci... podatków, powiedział Gibson.

Paul Porter, specjalny przedstawiciel w Europie amerykańskiego programu wzajemnego bezpieczeństwa oświadczył, że Hiszpania w ciągu 90 dni otrzymała dodatkową pomoc Stanów Zjedn. na tej samej zasadzie, na jakiej otrzymała Jugosławia.

W pierwszych dniach stycznia br. zostanie utworzona w Hollywood nowa filmowa organizacja antykomunistyczna. Na czele tej organizacji stanęli: Rupert Hughes, inicjator organizacji oraz jej prezes Lionel Barrymore, wiceprezes i jako sekretarz Menjou.

P. Menjou, precyzując zadania organizacji, powiedział, że powstała ona celem zaznamienia patriotycznych Amerykanów z przewrotnymi celami komunistów i zachęcenia ich do czynnej obrony wolności.

W Stanach Zjedn. istnieje 17 polskich organizacji ubezpieczeniowych i bratniej pomocy. Organizacje te są ośrodkami życia społecznego i motorem wszystkich, ważniejszych poczynań Polonii.

Oficjalny raport z r. 1951 podaje, że organizacje te w ub. roku posiadały 780.501 członków a wspólny ich majątek wynosił 129.984.098 dolarów.

W r. 1950 organizacje te wypłaciły gotówką przeszło pięć i pół miliona dolarów różnych premii.

Amerykański Instytut Naftowy oblicza, w 1951 r. wyprodukowano w Stan. Zjedn. 2.245 milionów beczek nafty. Jedna beczka zawiera 42 galony. Jest to wzrost produkcji nafty o 10% w porównaniu z r. 1950. Eksport nafty ze Stan. Zjedn. w 1951 r. wyniósł 156 milionów beczek i był o 50% wyższy niż w roku poprzednim.

Biuro statystyczne spisu ludności w Waszyngtonie przewiduje, że w bieżącym miesiącu (styczeń) ludność Stan. Zjedn. osiągnie 156.000.000 osób.

Przewodniczący United Jewish Appeal p. Edward M. Warburg z New Yorku podał do wiadomości, iż przywódcy tej organizacji postanowili zebrać w 1952 r. na pomoc młodemu Państwu Izraela... 150.000.000 dolarów. Kwota ta będzie dwukrotnie wyższa od zebranej w r. 1951.

O konieczności wzmocnienia zbiórki apelował do 700 delegatów żydowskich Nahum Goldman przedstawiciel Izraela w Stan. Zjedn. Stan finansowy Izraela jest tragiczny, przekonywał w swym apelu p. Goldman. Państwo przeżywa większy kryzys niż w 1948 r. i znajduje się przed bankructwem.

W pierwszych dniach stycznia w całych St. Zjedn. jednocześnie przeprowadzono obławę na handlarzy narkotykami. W sumie aresztowano ponad 500 osób. Według prawa amerykańskiego posiadanie i sprzedawanie narkotyków jest karalne. Najwyższy wymiar kary to 5 lat więzienia. Handel narkotykami uważany jest w Stan. Zjedn. za niebezpieczną plagę, zwłaszcza, że stwierdzono, iż wśród używających narkotyków jest ogromna ilość starszej młodzieży szkolnej z „High School”.

APEL DO POLAKÓW NA EMIGRACJI

Otrzymaliśmy następującą odezwę:

Od lat, poprzedzających pierwszą wojnę światową, harcerstwo bijnymś pedami rozkrzewiło się na polskich ziemiach. W ciągu 40 lat swego istnienia zdobyło sobie ono zarówno piękną kartę w walkach o niepodległość jak i czelowe stanowisko wśród wychowawczych organizacji młodzieży w okresie niepodległości Polski.

Dziś harcerstwo w Polsce nie ma żadnej możliwości prowadzenia i rozwijania pracy wychowawczej w duchu wyznawanych przez się zasad ideowych, wbrew uczuciom i przekonaniom młodzieży harcerskiej, która — jak zresztą cały naród — zachowała wierność dla wjary ojców, oraz dawnych ideałów narodowych i wychowawczych. Rząd komunistyczny narzucał Związkom Harcerstwa Polskiego kierownictwo, obce zasadzie ideowo-wychowawczej, oraz na sowieckich wzorach oparte metody i system organizacyjny.

Pozostaje uchodźstwo. Tutaj na wszystkich terenach emigracyjnych harcerstwo prowadzi wśród polskiej młodzieży wyteżoną pracę wychowawczą, wsparta — jak na trzech słupach — na służbie Bogu, Polsce i Bliźnim. Chodzi w tej pracy o związanie życia wewnętrznego młodzieży z zasadami nauki Chrystusowej, oraz o wzbudzenie takiej miłości do Polski, by stała się ona dla niej najdroższą Ojczyzną, o której wolność trzeba walczyć i do której po odniesionym zwycięstwie z radością wrócić. Utrzymując harcerstwo polskie na obczyźnie, ćwiczymy przyszłe szeregi bojowników o sprawę polską, wyrabiamy sobie następców, unikamy odstępstw.

Ojczy! Matko! Jeżeli chcesz, aby Dzieci Wasze

łącznie Rodziny Karpackiej w dniu jej święta.

„Prosimy też o nadsyłanie korespondencji, zawierającej opis życia i warunków pracy na miejscu. Redakcja w miarę możliwości, otrzymamy w ten sposób materiał ogłoszony w zamierzonym wydawnictwie. Korespondencje prosimy kierować na wyżej podany adres do dnia 20 lutego.

„Prosimy gorąco o współpracę i pomoc. Wierzymy w to, że tradycje karpackie są równie żywe, jak były przedtem, mimo ciężkich warunków. Wierzymy także w to, że znajdują się ofiarodawcy, którzy oprócz zamówień na jubileuszowe egzemplarze „Gońca”, złożą dobrowolne datki na koszty jego wydania, za co z góry dziękujemy”.

Czy masz już Legitymację SKARBU NARODOWEGO?

GONIEC KARPACKI

„Zarząd Główny Związku Karpaczyców z okazji 10 rocznicy powstania 3 DSK wystosował do b. żołnierzy Dywizji następujący apel:

„Zarząd Główny Związku Karpaczyców podjął prace przygotowawcze obchodu dziesiątej rocznicy powstania 3 Dywizji Strzelców Karpackich, przypadającej na dzień 3 maja br. Uroczystości obchodzone będą prawdopodobnie w dniach 2 i 3 maja w Londynie.

„Rozproszenie kolegów karpaczyców po całej kuli ziemskiej, nie pozwoli przytaczającej większości byłych żołnierzy Dywizji na wzięcie osobistego udziału w uroczystościach, wobec tego, Zarząd Główny postanowił wydać okolicznościowe wydawnictwo.

„Nawładzujemy do pięknych tradycji „Gońca Karpackiego”, który tym razem ukáže się w formie książki, w objętości

160—180 stron. Ogłoszone w niej będą fragmenty powieści, opowiadania, wspomnienia osobiste, nowele, artykuły, felietony, poezje i korespondencja z krajów, w których karpaczycy żyją i pracują. Komitet redakcyjny ma zapewnioną współpracę pisarzy, byłych żołnierzy 3 DSK.

„Zwracamy się z prośbą do wszystkich kolegów o zgłaszanie zamówień na książkę, której cena wyniesie 6/—, w USA i Kanadzie 1 dol., w innych krajach równowartość 1 dol. za egzemplarz. Zamówienia wraz z należnością w czekach, P. O., M. O. (przekreślonych i Co. i wystawionych na Adm. „Gońca Karpackiego”) przesyłać prosimy na adres: „Goniec Karpacki” c/o J. Z., 7, Westbury Road, London, N. W. 10. Zachęcamy do zamówień zbiorowych, co obniży koszt przesyłki.

„Książka ukáže się w okresie uroczystości i będzie stanowiła symboliczną



# WALKA O AZJĘ

(dokończenie ze str. 9.)

duchskich masach, do czego zmierzają także gwałtowna propaganda radiowa z Moskwy. Stalin osobiście dokonał próby wpłynięcia na nastroje i politykę Japonii, życząc na Nowy Rok narodowi japońskiemu pozbycia się amerykańskich baz i wojsk. Słowem polityczna i zbrojna akcja komunistów objęła już wszystkie wyspy i półwyspy azjatyckie, rozciągając się obrzymym kołem od Korei i Japonii przez Indochiny i Indie, ogarnęła Persję i wkroczyła na ląd afrykański, do Egiptu.

Wzmożenie penetracji komunistycznej w Indiach rozszerzy i zaostriży konflikt interesów między Rosją a W. Brytanią. Ta okoliczność musi z natury rzeczy prowadzić do zacieśnienia amerykańsko - brytyjskiego sojuszu. Opanowanie Indii przez komunistów musiałoby prowadzić do utraty całej Azji i postawienia Zachodu wobec konieczności śmiertelnej walki w Europie, już jako ostatnim bastionie. Nie należy przeto traktować jako pustych słów tego ustępu komunikatu z rozmów Churchill-Truman, który głosi, że daleko idąca wspólnota ich poglądów w sprawie Azji przerasta niepięknym swym znaczeniem różnicę tego rodzaju, jak uznanie, lub nieuznanie komunistycznego rządu w Pekinie. Ta wspólnota poglądów mogła być mało widoczna, gdy na porządku dziennym stała tylko sprawa Korei.

Rozrosła się ona, gdy zagrożone zostały brytyjskie interesy na Środkowym Wschodzie. Stanie się ona całkowita, gdy ujawni się zagrożenie Indii. Brytyjskie i amerykańskie interesy oraz poglądy różnią się bowiem w stosunku do poszczególnych azjatyckich krajów, ale gdy chodzi o całość Azji, — to żadnych różnic nie ma. Polityka sowiecka usiłuje wygrać brytyjskie obawy przed konkurencją handlową Japonii i kląć na tym tle W. Brytanię ze Stan. Zjedn. Czymże jednak jest niebezpieczeństwo japońskiej konkurencji handlowej na azjatyckich rynkach zbytu w porównaniu z niebezpieczeństwem całkowitej utraty tych rynków, co nastąpiłoby w wypadku opanowania ich przez komunizm?

Konflikt interesów rosyjskich z brytyjskimi w Azji jest stary, a konflikt rosyjsko-amerykański jest nowy. Zderzenie się interesów Rosji i Stanów Zjednoczonych stało się nieuniknione, gdy Amerykanie, w wyniku zwycięstw nad Japonią, stanęli zbrojną stopą na kontynencie azjatyckim i to właśnie na Dalekim Wschodzie, który od dawna jest terenem rosyjskiej ekspansji imperialnej. MacArthur dostrzegł ten konflikt od razu, ale wielu politykom amerykańskim zdawało się, że zostanie on załatwiony drogą ustępstw na rzecz rosyjskich żądań w Europie Środkowo-Wschodniej.

Piszący te słowa sadził 8 lat temu, że Rosja nie powinna dopuścić do całkowitej klęski Japonii i że uratuje ją droga dyplomatyczna, tak samo jak Stany Zjednoczone uratowały Rosję przed całkowitą klęską w jej wojnie z Japonią w 1904/5 roku. Wydawało się bowiem, że w interesie Rosji nie leży wypuszczenie Ameryki na kontynent azjatycki. Przewidywania powyższe okazały się błędne, może dlatego, że omyłkę popełnił tu Stalin, godząc się na okupację Japonii w praktyce tylko przez St. Zjedn.

Amerykane odwiedzili się za to Rosji oddaniem jej Europy Środkowo-Wschodniej, co chyba nie leżało w interesie Ameryki, a już na pewno nie było w interesie Zachodniej Europy. Po traktacie wersalskim Środkowo-Wschodnia Europa stanowiła t.zw. kordon sanitarny, odgradzający Zachodnią Europę od komunizmu. Dziś, Rosja zrobiła z tej części Europy kordon militarny, osłaniający ją w Europie, podczas gdy główna rozgrywka została podjęta w Azji.

Komunikat z anglo-amerykańskich rozmów oraz mowy brytyjskich i amerykańskich polityków wysuwają sprawy azjatyckie na pierwsze i drugie

miejsce, stawiając europejskie na trzecim. Stabilizacja położenia w Europie jest skutkiem ogólnej defensywnej polityki i strategii anglosaskiej, oraz defensywnej postawy Rosji w Europie, którą Rosja zajęła w celu skupienia swej energii w Azji. Rosja prawdopodobnie niezbyt się przejmując tworzeniem „europejskiej armii” pod dowództwem Eisenhowera.

Dzięki panowaniu nad Europą Środkowo-Wschodnią Rosja ma doskonałe zabezpieczenie tyłu do podjęcia pełnej rozgrywki w Azji. Może ona podtrzymać zbrojne ruchy azjatyckie, wykorzystując potencjał przemysłowy satelickich krajów bez nadwładnia gospodarki własnej.

Tak — Azja jest głównym terenem konfliktu Rosji z Anglosasami i jest tym terenem z wyboru Kremla, według myśli Lenina. W Azji Rosja może walczyć przeciw Anglosasom cudzym materiałem ludzkim, kosztem cudzej krwi, bez przelewania własnej. Zmiana na niekorzyść Rosji mogłaby spowodować jedynie przetruczenie się Indii od postawy neutralnej do czynnej współpracy z Zachodem. A takie przetruczenie się mogłoby być możliwe jedynie w wypadku poważnego zagrożenia Indii przez Rosję pod warunkiem, że znaleźliby się w Indiach zdecydowani i energiczni ludzie.

S. Klinga



MORRISON DO ATTLEE: To samo przywiózł co i ty — umie się jednak ubrać na każdą okazję!

## MARSZAŁEK ALEXANDER MINISTREM OBRONY NARODOWEJ WIELKIEJ Brytanii

Wszyscy żołnierze polscy a zwłaszcza żołnierze 2. Korpusu powitali z największym zadowoleniem wiadomość o objęciu przez Marszałka Alexandra stanowiska ministra Obrony Narodowej w rządzie Churchilla. Aczkolwiek przestrzegamy oboje, że nie mieszania się do spraw wewnętrzno-politycznych Wielkiej Brytanii, nie możemy jednak powstrzymać się od wyrażenia naszych uczuć w tym wypadku, albowiem postać marszałka Alexandra zbyt jest związana z historią i czynami żołnierza polskiego, a jego przyjaźń i znajomość zagadnień polskich zbyt jest wypróbowana, byśmy mogli pominąć na łamach „Orla Białego” tę nominację, która posiada doniosłe znaczenie ogólne.

Jego uczucia i stosunek do Polski znalazły wyraz w pięknej przedmowie napisanej do książki Generała Andersa „Bez Ostatniego Rozdziału”.

# „Coś wisi w powietrzu”

(WYDARZENIA I UWAGI)

Atmosfera, jaka zapanowała od pewnego czasu w polityce międzynarodowej, jest tego rodzaju, że doskonale pasuje do niej powiedzenie, iż „coś wisi w powietrzu”. „To coś”, to nie są nagłe i szczególnie dramatyczne wydarzenia, lecz nadchodzące, a raczej już zapoczątkowane przemiany w polityce Zachodu.

Rok 1951 przyniósł poważną zmianę w sytuacji międzynarodowej w postaci uruchomienia nacjonalizmów w krajach Środkowego Wschodu, skierowanego przeciw Zachodowi, głównie zaś przeciw Wielkiej Brytanii. Nic dziwnego więc, że właśnie W. Brytania wykazuje dziś dużo inicjatywy w polityce międzynarodowej, zamiast iść mniej lub więcej niechętnie w ślad za polityką Stanów Zjednoczonych, jak było przeważnie dotychczas. Ostatnie wypadki w Egipcie, a więc regularna bitwa między wojskiem brytyjskim a policją egipską w Izmaili, krwawe rozruchy w Kairze, dymisjonowanie rządu Nahasa Paszy przez króla Faruka i ogłoszenie stanu wyjątkowego przez nowy rząd — nadały sytuacji na Środkowym Wschodzie charakter szczególnie poważny. Rozruchy, pociągające za sobą krwawe ofiary, wybuchły również w znajdującym się pod francuskim protektoratem Tunisie. Rosja Sowiecka przyrzeka Egiptowi ustami Wyszyńskiego pomoc przeciw Wielkiej

Brytanii. To jest o wiele poważniejsza sprawa, niż w 1946 r. gdy Rosja domagała się udziału w okupacji Trypolitanii, a przecież Bevin nazwał to wówczas sięganiem do gardła Brytyjskiego Imperium.

Rozpętanie masowych rozruchów w Egipcie przy wyraźnym udziale komunistów jest jednak równocześnie sięganiem do gardła egipskiej klasie rządzącej z królem na czele. Rozruchy te przeto mogą spowodować skutki odwrotne od komunistycznych zamierzeń i ułatwić porozumienie między Egiptem a Wielką Brytanią. Uderzającą jest w tym wypadku zbieżność między artykułem „Timesa” z 26 stycznia br. a rozwojem wydarzeń. „Times” wyraził bowiem pewność, iż w Egipcie są ludzie, którzy wierzą w możliwość zawarcia kompromisu z Wielką Brytanią w sprawie Kanalu i Sudanu, lecz że do ugody nie dojdzie.

## PRZEMIANY W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Nowego ujęcia starych zagadnień szukają również Stany Zjednoczone. Dokonały się tam ostatnio duże zmiany personalne na kierowniczych stanowiskach w Departamencie Stanu. Nowym zastępcą Achesona został dotychczasowy ambasador we Francji, p. Bruce i mianowano też nowych kierowników wydziałów Dalekiego i Środkowego Wschodu. Podał się również do dymisji ambasador amerykański w Hiszpanii. Niedawno zmieniono ambasadorów w Turcji, Persji i Indiach, a do Moskwy wysłano p. Kennana. Są oznaki, między innymi widoczne w mowie Deweya, że Stany Zjednoczone zarzucają dotychczasowe opieranie swej polityki azjatyckiej na Czang Kai Szeku i szukają nowego oparcia w Japonii i Indiach.

Wysłanie Kennana do Moskwy może spowodować zmniejszenie wpływu na całość polityki amerykańskiej tego twórcy hasła o „powstrzymaniu” Rosji. W prasie amerykańskiej odezwano się ostatnio wiele głosów, krytykujących zamysły Kennana. Krytycy ci twierdzą, że polityka „powstrzymywania” Rosji należy do przeszłości. Polityka ta bowiem, jak pisze „New York Herald Tribune”, wymagałaby utrwalenia obecnego stanu rzeczy, „co byłoby zdradą rosyjskiego ludu, utarzmionych narodów oraz większości zachodnich zasad”. Trzeba wnioskować dalej wspomniany dziennik, poszukać czegoś pośredniego między

dopóki rząd Nahasa Paszy podnieca terrorystów. Dalej następowało zdanie:

„Równocześnie inni egipcjści przywódcy nie będą chcieli wziąć w swoje ręce rządu, jeśli nie zostaną przedtem umocnieni w poglądzie, iż Wielka Brytania poczyni ustępstwa na rzecz egipskich dążeń po ustaniu terroru”.

Na drugi dzień po ukazaniu się tego artykułu wybuchły wspomniane rozruchy w Egipcie, Nahas Pasza otrzymał dymisję i król powołał nowy rząd. Należy przypominąć, że doradca króla w sprawach zagranicznych jest b. egipski ambasador w Londynie, co daje podstawy do przypuszczenia, że jakieś zakulisowe kroki, zmierzające do brytyjsko-egipskiego porozumienia nastąpiły przed powołaniem nowego rządu. Na zakończenie „Times” zaznaczał, że Wielka Brytania musi zastosować nową politykę w stosunku do sił nacjonalistycznych na Środkowym Wschodzie.

dzi „powstrzymywaniem” a „interwencją”.

W Wielkiej Brytanii zaś wysłała tych dniach książka C. Wilmota „The struggle for Europe” („Walka o Europę”), omawiająca różnicę między brytyjską i amerykańską polityką w w czasie ubiegłej wojny, gdy Churchill chciał zapobiec opanowaniu przez Rosję Środkowo-Wschodniej Europy, a Roosevelt pokrzyżował jego zamiary. Okna księgarni londyńskich są zawałone tą książką i cała prasa brytyjska robi jej reklamę, z czego można wnosić, że nie chodzi w tym wypadku o pisanie historii, lecz o kształtowanie bieżącej polityki.

Z komentarzy brytyjskich o niedawnej konferencji sekcji Środkowo-wschodniej Europy Ruchu Europejskiego warto zanotować opinię Scrutatora w „Sunday Times”, że dopóki Rosja panuje nad Europą Środkowo-Wschodnią, dopóty nie może istnieć równowaga europejska. Zdanie to notujemy dlatego, że mówienie o samych tylko zasadach moralnych bywa często tylko cczą gadaniną, ale gdy się zaczyna mówić o „równowadze europejskiej”, to jest to stawianie sprawy na płaszczyźnie polityki realnej. Wydało się, że rozbudzenie niechętnych Zachodowi nacjonalizmów Środkowego Wschodu skłania mocarstwa anglo-saskie do przypomnienia sobie o nacjonalizmach krajów Europy Środkowo-Wschodniej. (S. K.)

## Zebrań członków Rady Narodowej w St. Zjedn.

Otrzymałmy z Nowego Yorku następujący komunikat:

W dniu 20 stycznia odbyło się w Now Yorku pierwsze zebranie członków IV Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej, powołanej w grudniu ub. r. przez Prezydenta R. P. W zebraniu wzięli udział wszyscy członkowie Rady Narodowej, zamieszkujący stale w Stanach Zjednoczonych, a mianowicie: z New Yorku pp. Stanisław Gierat, Klaudiusz Hrabek, Edward Kleszczyński i ks. Tomasz Reginek; z Bostonu p. Mateusz Siwik; z Lawrence p. Stanisław Swoboda-Lubczyński; z Buffalo p. Marian Strzelczyk i z Toledo p. Marian Wojciechowski. Ponadto w obradach uczestniczył ambasador Józef Lipski.

O godz. 12 w kościele św. Krzyża w Maspeth odprawili mszę św. na intencję Rady Narodowej ks. A. Ciżmowski, przy licznym udziale Polonii. Kazanie o zadaniach polskich w obecnej chwili wygłosił ks. proboszcz Wł. Mańka, kawaler orderu Polonia Restituta. Na zakończenie odśpiewano „Boże coś Polskę”.

Po nabożeństwie w domu parafialnym św. Krzyża rozpoczęły się obrady członków Rady Narodowej, które otworzył najstarszy wiekiem ks. prałat Tomasz Reginek. W przemówieniu swym podkreślił doniosłe znaczenie zebrania i zadań członków Rady Narodowej w tym kraju. Rada Narodowa spełnia rolę parlamentu, t. j. kontroluje działalność i uchwała budżet dla legalnego rządu na wygnaniu, oraz utrzymuje bezpośrednią łączność ze społeczeństwem uchodźczym. Zastępuje sejm aż do czasu, gdy okupowany kraj wyłoni swe przedstawicielstwo w wolnych wyborach.

Następnie ambasador Lipski w imieniu Prezydenta RP odebrał od członków przyrzeczenie.

W przemówieniu ambasador Lipski dał wyraz wzruszeniu jakie go ogarnęło, gdy odbierał przyrzeczenie i złożył członkom życzenia owocnej pracy. W drugiej części swego przemówienia, przedstawił obszernie zasadnicze elementy sytuacji międzynarodowej i na tym tle zadania Polaków przebywających w wolnym świecie.

Z kolei dokonano wyboru przewodniczącego zebrania w osobie p. Swobody Lubczyńskiego i sekretarza w osobie p. Wojciechowskiego. Obrady trwały do

późnego wieczora i w ich wyniku postanowiono m. in. powiadomić o działalności członków Rady Narodowej w Stanach Zjednoczonych: przewodniczących obu Izb Amerykańskich, sekretarza stanu D. Achesona, oraz przewodniczącego Komitetu Narodowego Wolnej Europy, p. H. B. Millera. Uchwalono nawiązać łączność z wszystkimi człowieymi organizacjami Polonii Amerykańskiej z Kongresem Polonii na czele; zwołać konferencje działaczy i przedstawicieli nowej emigracji do New Yorku i do Chicago, celem omówienia współpracy, związanej z jej celami politycznymi i społecznymi; zwrócić się do przedstawicielstwa Rady Politycznej w Stanach Zjednoczonych, celem trwałego uzgodnienia wspólnego stanowiska w stosunku do czynników amerykańskich.

Ponadto uchwalono: rozwinięcie działalności w organizowaniu zbiórki na Skarb Narodowy; wnioski w sprawie poprawek do regulaminu Rady Narodowej RP, umożliwiającym członkom Rady przebywającym stale poza siedzibą rządu RP, czynny udział w pracach Rady; ukonstytuowanie zespołu Członków Rady w Stanach Zjednoczonych. Przewodniczącym Zespołu wybrano jednogłośnie p. Stanisława Gierata z New Yorku.

Wszelkie wydatki związane z działalnością Zespołu i członków Rady Narodowej w Stanach Zjednoczonych postanowiono pokrywać z prywatnych funduszy członków Rady.

## ZAWIADOMIENIE

Z uwagi na specjalny charakter niniejszego numeru wiele artykułów, omówień i materiałów bieżących, m. in. sprawozdanie o obradach w Londynie komisji wschodnio-europejskiej Ruchu Europejskiego, jak i odcinek powieści „Marek Korda” zmuszeni jesteśmy odłożyć do następnego numeru, który ukaze się z datą 16 lutego 1952 r.

## Złóż datki na »DOM AKTORA«

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą w/taryfy, płatna z góry): W W. Brytani i szylingów: miesięcznie 5/6 kwartalnie 15/-, rocznie £2.17.0; przyjmujemy: „Gryf” - Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S. W. 11. Zmiana adresu 1s. — W BELGII miesięcznie: frb. 25, kwartalnie frb. 75. Zamówienia i należności przyjmujemy: Janina Korab-Brzozowska-Csaky, 132 Av. Joffre, Forest, Bruxelles. Należności wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky, nr. 7315.20, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 160, kwartalnie 450, rocznie 1750. Zamówienia oraz należności przyjmujemy S-te „Libella” Librairie — 12 rue St. Louis en l'Isle — Paris IV, nr. konta pocztowego Paris ce 565150. — W HOLLANDII miesięcznie fl. 2,00, kwartalnie 5,50. Wpłacać przekazem pocztowym: Fr. Malecki 17 Tulpenlaan, Bij Gelen (Limburg). — W NIEMCZECH: zamówienia i wpłaty przyjmujemy: M. Gawec, Księgarnia „Wiedza”, (13a) Schwandorf (Bayern), Bahnhofstr. 19. — W NORWEGII koron: miesięcznie 4, kwartalnie 10, rocznie 36. Prenumeratę przyjmujemy: Narvesens Kiosk Kompagni, Postbox 125, Stortingsgata 2, Oslo. — W PORTUGALII: kwartalnie 35 esc., rocznie 120 esc. Prenumeratę przyjmujemy: A. Zieliński, Lisboa Central, Caixa Postal Nr. 110. — W SZWAJCARII fr. szw.: miesięcznie

2,00, kwartalnie 5,50. Należności za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2, Case Postale 19. — W SZWECJI koron: miesięcznie 3,60, kwartalnie 10, rocznie 36. Prenumeratę przyjmujemy Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — WE WŁOSZECH lirów: kwartalnie 700. Prenumeratę przyjmujemy W Zahorski, Associazione Combattenti Polacchi, Nazario Sauro 9, Roma. Należności wpłacać przekazem poczt.: — W ARGENTynie kwart. 32,50 peso. półrocznie 65 peso, przyjmujemy T. Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. — W BRAZYLII: kwart. Cr. 35, półrocz. TIBA, Parana. — W AUSTRALII: prenumeratę przyjmujemy: „Vistula” (Australia) Pty., Ltd., 77 Pitt St., Sydney, A. S. W. — „SPOLENI”, 85, Wattle Ave. Boulevard, FAIRFIELD, N. S. W. — „ROYAL PARK, ADELAIDE, S. Australia; prenum. kwart. £10.00A, roczna £30.00A, opłata kwart. za prenum. £0.8.0A. — W KANADZIE: kwartalnie dol. 2.10, półrocznie dol. 4.00. Prenumeratę przyjmujemy: Polska Agencja Książek i Czasopism, 83, Front St. E. Toronto, ONTARIO, CANADA oraz na Quebec, Nova Scotia, Prince Edward Island i New Brunswick — T. Sypniewski, 2670, Barclay Ave., apt. 2, MONTREAL. — W POŁUDNIOWEJ

AFRYCE: kwartalnie 15/-, rocznie 57/-. Prenumeratę przyjmujemy bez pośrednictwa „Gryf” Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: „SYRENA PUBLICATION”, 8805, Neal Street, DETROIT 14, Michigan; kwart. dol. 2.10, półrocznie dol. 4.00. Prenumeratę przyjmują: L. Duradev-Ossetyński, „Wilno”, 28471 Ventura Boulevard, Agoura P. O. Box 113, California — „Gryf”, W. Biękowski, 808, Wager St., Utica N. Y. U. S. A. oraz Józef Białasiewicz, Public Relations 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill. — OGLOSZENIA: na terenie W. Brytanii firma Carlton Bery Co., Ltd., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W. C. 2 lub „GRYF” - PUBLICATIONS LTD., 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez lam £1. Nadesłanych rekopisów red. nie zwraca. Za treść ogłoszeń redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji „Orla Białego”: 31a, Dean Road, London, N. W. 2. Telefon: WILLEDEN 6920. Adres Administracji: „Gryf” - Publications Ltd., 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11., telefon: BATTERSEA 0879.